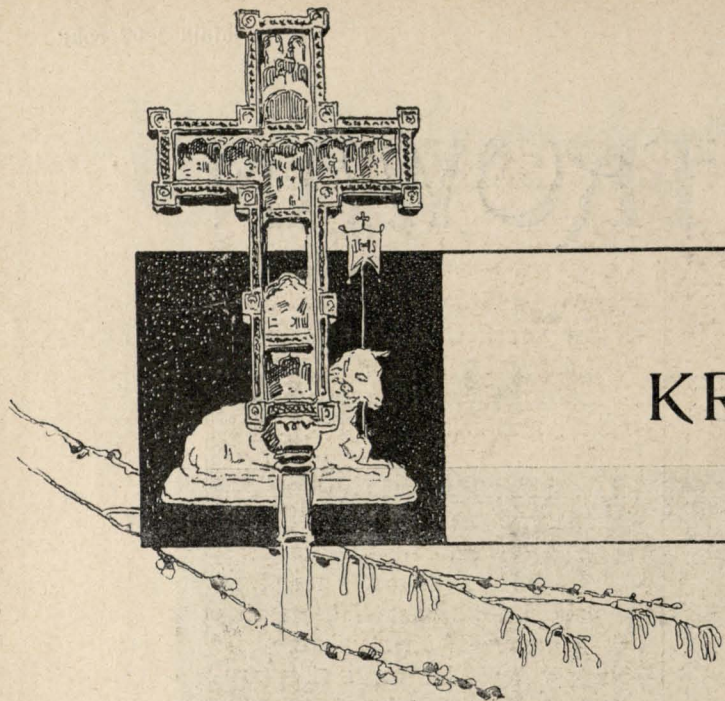


TYGODNIK ILLUSTROWANY

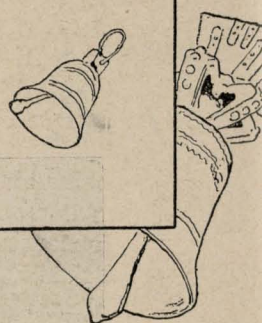


„POD TWOJĄ OBRONĘ”

JÓZEF CHEŁMOŃSKI



KREW CHRYSZTUSOWA.



Od kiedy na krzyżu skonał Chrystus, od kiedy istota Boska, która zechciała być człowiekiem, oddała krew swą przyczystą na odkupienie ludzkości, świat, zamiast wziąć do serca naukę Mistrza, wziął ją tylko na usta i, po staremu wyznając religię siły, gnębi i depce ciężkimi stopy wiarę Chrystusową, miłości i przebaczenia pełną.

Na Golgocie odbyło się przedziwne misterium ludzkiego ducha. Najtragiczniejsza i najwznioślejsza chwila dziejów człowieczych stała się na wieki wieczne, aż po kres ostatecznych lat, wzorem i wróżbą dla wszystkich najszlachetniejszych wyznawców ideału Prawdy i cnoty.

Ten bok krwawiący, przebity włócznią żołdaka, te usta pragnące, napojone zółcią i octem, te oczy, tak przesmutnie, a tak miłościwie patrzące nu kątów i pacholek oprawczych, czyż nie powtarzały się w dziejach po wielekroć razy, jakby powrotna wizja momentu, w którym ludzie zabijali Boga, a Bóg umierał, aby dać nieśmiertelność ludziom?

I każda taka śmierć była nową śmiercią Chrystusa, była setnym i tysięcznym ukrzyżowaniem Zbawcy świata, wcielenia dobra, uosobienia światła, szafarza bogactw duchowych, orędownika maluczkich, nieszczęśliwych, prostych, pokornych i cichych.

Krew Chrystusowa leje się bezustannie. Bóg w sługach i wyznawcach swoich cierpi wciąż, jak na owym wzgórzu Trupiej głowy, a zaprawdę najczęściej bywa tak, iż ów, co część duszy Boskiej i ideę Mistrza z Nazaretu nosi w sobie, przez faryzeuszów uznany jest za bluźniercę przeciwko Jezusowi właśnie i zaprzańca znamieniem pohańbion. Tak jest po dziś dzień, jak bywało przed dwoma tysiącami lat, kiedy to wrzeszczał tłum, pijany nienawiścią: „Krzyżuj Chrystusa! uwolnij Barabasa!”

Zaiste, nie zmieniło się nic! I sądzićby można, że ludzkość nigdy już, nigdy nie wzniesie się na wyższy szczebel duchowego dostojeństwa. Sądzićby można, że zarówno teraz, jak niegdyś, jest i była pewna liczba wybrańców o sercach kochających, o duszach czystych i jasnych, liczba, która nigdy się nie zwiększa. Ilu ich było, tylu jest, a reszta — to zgraja zwierząt w ludzkiej postaci, co mówią: zwierząt! stado potworów, z którymi

pod względem podłości i okrucieństwa żadna bestya porównać się nie może.

Powiedziałem: wybrańców. Tak! wistocie, są to wybrani przez Boga. Ci, którzy cierpią wiele, ci, którzy w mękach ognio- wych prób nie chylą głowy, cierniową zdobnej koroną, ci, którzy na stal niezłomną zahartowali pierś, iż jest wszelkiemu złu niedostępna, ci, co, deptani przez rozhukaną tłuszcę, nie idą z nią w bagniska błotne, ale pozierają w ukochanie swoje, w słońce, płonące na niebie, jako symbol wiekuistego światła po tej i po tamtej stronie życia.

Ludzie sfałszowali wszystko, oni nawet sfałszowali Boga. Ten Chrystus, którego nikczemnymi wargi czci obłudnie tak niezmierną większość mieszkańców globu ziemskiego, nie jest Chrystusem prawdziwym. Wiara Chrystusowa, zepsuta, zbrudzona przez szakali, wilków i lisów, mieniających się ludźmi, stała się tragiczną parodią tego, co głosił urodzony w stajni, a zmarły na hańbiącym drewnie Bóg bezgranicznej miłości. Parady tej bronią dziś całe legiony; przy prawdziwym Chrystusie stoi garstka.

I znów jest, jak podówczas: po stronie fałszu — reszta niezliczona, po stronie prawdy ci, w których się ciska kamieniem.



CHRYSZTUS NA GOLGOCIE

JAN STYKA

Co roku obchodzimy pamiątkę Chrystusowej męki i śmierci. Z jakimże przejęciem powinniśmy ją obchodzić, my wszyscy, którzy tak często *umieramy w Chrystusie!* Ale co roku również biją tryumfalne dzwony z kościelnych wież, głosząc światu chrześcijańskiemu, iż oto zmartwychwstał Pan, i radować się każą narodom, że niesprawiedliwość i złość starze zostały z oblicza ziemi. I to jest właśnie fatalnym i okropnym kłamstwem, bo zmartwychwstaje w Chrystusie tylko ta nieliczna garstka, o której mówiłem, iż wybrana jest na cierpienie i poniewierkę. Tamci inni wołają wprawdzie: „Alleluja!”, lecz pusty to dźwięk jedynie, nie odzywający się zgoła w ich sercu. Ich Chrystus jest fetyszem pogańskim, nie Bogiem miłosierdzia, ich wiara jest martwą literą, jest miedzią brząkającą i cymbałem brzmiącym, nie podniesieniem dusz i wyszlachetnieniem całej istoty.

Więc cóż? Więc mamy zwątpić ostatecznie w możliwość utworzenia na ziemi jakiejś Rzeczypospolitej niebieskiej, w której ludzie żyliby, nie jak czyhające na siebie wzajemnie hyeny, ale, jak półświeci, czysti i rozumem serca rozumni.

Rzeczypospolitej takiej na ziemi nie utworzy nigdy nikt. Marzenie o zbrataniu wszystkich serc ludzkich musi po tej stronie życia pozostać marzeniem tylko. Ale ci, którzy naprawdę ukochali Chrystusa, niech nadziei nie tracą. Oni powinni stać na straży spraw wielkich i świętych, powinni przeciw wali płynąć, bronić wszystkimi siłami ducha idei miłości, ogarniającej wszystkich i wszystko, bo tylko Miłość może dokonać cudu i dla owej garstki wyznawców zyskać sojuszników wśród ciemnego, nienawiścią dyszącego tłumu.

Krew Chrystusowa, ustawicznie potokami ciekąca, krzyż Golgoty, który, jak straszliwa wizja, wznosi się zawsze nad rozwichrzonym, rozżartym, nie umiejącym poza granice ziemskie spojrzeć światem, powtarzająca się męka ducha, partego tęsknotą do lepszego istnienia, tu, na tej ziemi jeszcze, a biczanego za pragnienie szczęścia dla ludzkości całej, oto jest siła, która przez miłość powiększać może szczupłą liczbę Chrystusowego bractwa.

A może kiedyś uderzy światu dzwon na prawdziwe zmartwychwstanie w Chrystusie...



WNĘTRZE LASU

Z wystawy specjalnej w Salonie T. Z. S. P.

JULIAN FAŁAT

Z ANTOLOGII POLSKIEJ.

WIKTOR GOMULICKI:

SPŁOWIAŁE KARTKI

Wiem, jak kęsają twe zębki drobne
W miłosnej pieśczoży szale;
Ślady ich, śladom ognia podobne,
Choć niebolesne wcale.

We wszystkim ciebie słucham niezmiennie,
Odkąd się stałem twym brańcem:
Gdy zechcesz, chodzić mogę codziennie
Z takim na szyi różańcem.

Lecz może kiedyś, w szaleństwie godzinie,
Twe zębki wpiją się głębiej;
Krew z ran otwartych falą wypłynie,
Ciało śmiertelny dreszcz zziębi...

Ha, niech mię ciemność wieczna otoczy,
Niech otchłań pożre mię pusta,
Bylebym, gasnąc, patrzył w twe oczy,
Bylebym twoje czuł usta!...

WŁADYSŁAW ZALEWSKI:

DZWONECZKI ZŁOTE.

Dzwoneczki złote, dzwoneczki, precudnie
Wieszczące słodką miłowań pieśczożę,
Przezyste serca łany, szczerozłote,
Dzwonkowe chóry wy, kędyś odludnie
W baśniowych gajach wyśpiewane złudnie,
Dzwoneczki złote...

Niewysłowioną dzwonięń tych prostotę
Czczę i sńię w jasne, złociste południe,
Żar miłowania, co mi nie ochłódnie,
Dzwoneczki złote...

Miłość sńię górną, wianek tobie plotę
Jasny ze złudzeń majowych, gdy cudnie
Błaskami duszy złocisz dróg mych grudnie,
Gdy serce twoje dzwoni mi tęsknotę,
Dzwoneczki złote...

SAVITRI:

OBUDZENIE.

W liliowe wirydarze wpadł orkan zbudzony...
Przerwał w dym trybularzy upowitą ciszę,
Uderzył w dzwonki smukłe, przezyste
i mnisze,
W te najbielsze, o sercach szczerozłotych
dzwony...
W liliowe wirydarze wpadł orkan zbudzony.

Dzwonią dzwonki spieśnione zmarłemu
w mogile,
By powstał znów we szczęściu, młodości i sile
Z swej trumny, beznadziei cudem odrodzony...

W liliowe wirydarze wpadł orkan zbudzony...
Wśród pożogi błyskawic, wśród grzmotów
chorału
Zrumieniły się lilie szkarłatami szału
I drżą, nie wierząc w przepych swój
baśniowy, sńiony...

W liliowe wirydarze wpadł orkan zbudzony...
Spłomienione purpurą cicho lilie płaczą
Za straconą białością dziecinną, prostaczą...
...Tak płacze rybak, ciężar poczuwszy korony...
W liliowe wirydarze wpadł orkan zbudzony...



BOLESŁAW PRUS:

Niemcy współczesne.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Nakładem *Biblioteki Dzieł Wyborowych* wyszła książka E. Reycha p. t. „Niemcy współczesne”. Autor jest Węgrem i, zdaje się, bardzo zdolnym pisarzem, cel zaś jego książki streszcza się w następujących zdaniach: „Niemcy w poważnym stopniu są dotknięci manią wielkości”—i—„Anglicy nic absolutnie nie wiedzą o tym niebezpiecznym stanie swoich najważniejszych współzawodników”.

Jakaż tu rolę mają Anglicy?... Najważniejszą. Oni bowiem jedni stanowią dziś potęgę, która może się przeciwstawić Niemcom i—na nich przedewszystkiem zwróci się furja niemiecka...

Według Reycha obłąkanie Niemców manifestuje się pangermanizmem, który głębokim nurtem przebiega cały naród. Pangermanizm zaś mniema, że, jak twierdzi Chamberlain, „cała historia ludzkości zlewa się w jeden wyraz: Niemiec, że Niemcy byli i są naprawdę od Boga wybranym narodem”. Pod wyrazem: Niemiec—Chamberlain rozumie „Celtów, Germanów i Słowian, którzy wszyscy pochodzą z jednego źródła, a duszą tego źródła jest Germanin”. „Prawdziwe dzieje ludzkości rozpoczną się z tą chwilą, kiedy Niemiec przystąpi do ogarnięcia pod swe potężne ramię puścizny starożytnej”...

Nie dość na tem: wszyscy bowiem ludzie wielcy w historii należeli do rasy germańskiej. O naszym Koperniku już słyszeliśmy, że był Niemcem. Z kolei pisarz Woltman zabiera się do Włochów i usiłuje dowieść, że Cellini, Buonaroti, Vinci, Santi i t. d. pochodzą z krwi niemieckiej. Wzmiankowany już Chamberlain robi krok dalej i do Niemców zalicza św. Pawła, a uczony Reimer posuwa się jeszcze kroczyk i twierdzi, że, ponieważ „Jezus nie był oszustem, więc — jest Niemcem”... Hulaj dusza!...

W szpitalach dla obłąkanych trafiają się pacyenci, którzy np. siebie samych uważają za Chrystusów, lecz—nic złego nie robią innym. Więc i pangermanizm, anektujący wszystko, czem chlubi się człowieczeństwo, nie byłby groźny, gdyby nie posiadał — drugiego piętra, gdyby ponad nim nie rozrastał się pangermanizm zdobywający, a nawet tępiący. Ten nowy obłąd już nie zadawała się wielkimi nazwiskami, on jeszcze chce ziemi: „od Rumunii do Adryatyku”. A gdyby kto zrobił uwagę, że na tych przestrzeniach już mieszkają ludzie, otrzymałby od pangermanistów taką odpowiedź.

„Ludność nie-niemiecka będzie z Cisleitani wygnana. Wygnanym można będzie wynagrodzić straty, ale kraj musi być oczyszczony z obcego żywiołu i zaludniony Niemcami. W razie pomyślnym nie zawahamy się od strony Francji i Rosji wydzielić szerokich pasów ziemi, ażeby wzdłuż całej naszej granicy utworzyć szanice ku wschodowi i zachodowi. Lecz i te pasy winny być zasiedlone Niemcami”... Mamy tedy nawet rodzaj chińskiego muru!

Najgorsza jednak dola oczekuje nas, Polaków. Według teologa Letiusa „prasa polska winna być zniesiona, wszelkie stowarzyszenia polskie rozwiązane... Na Polaków należy patrzeć, jak na Helotów (niewolnicy w Sparcie). Należy im pozostawić tylko trzy przywileje:

płatnie podatków, odbywanie służby wojskowej i niewypuszczanie pary z gęby”.

Wielebny Letius, zdaje się, zapomniał, że taką mniej więcej rolę odegrali niegdyś najemnicy germańscy w państwie rzymskim. A co się potem stało?... Nawet „pograniczne szanice” nie pomogły!

Wszystko to jednak nie wystarcza pangermanistom, oni jeszcze potrzebują krajów zamorskich, w ilości jak największej. A ponieważ władczynią przeważnej części tych ziem i panią morza jest dziś Anglia, z nią więc Niemcy muszą się rozprawić, i to bodaj czy nie pierwej jeszcze, aniżeli z rozmaitymi Polakami, Czechami, Słowakami... aniżeli nawet z Rosją, które to—„wielkie mocarstwo słowiańskie ma być rozczłonkowane i ostatecznie zgniecione”.

Słuchając tego, czytelnik może zapytać: na cóż Niemcom aż tyle ziemi? Tymczasem, w warunkach obecnych, które zresztą kiedyś mogą się zmienić, tymczasem kwestya ziemi staje się dla Niemiec sprawą pierwszorzędną wagi, ludność bowiem Niemiec dotychczas wzrastała bardzo szybko. W roku 1816 Niemcy liczyły 25 milionów mieszkańców, w 1855 już 36 milionów, a w roku 1905 posiadały 60 milionów. (Francja około 1820 miała o 4 miliony ludności więcej, aniżeli Niemcy, około 1850 oba kraje liczyły po 34 i pół miliona, a dziś Niemcy liczą o 20 milionów więcej mieszkańców, aniżeli Francja, bodaj tylko dlatego, że Francja nie chce mieć dzieci, woli pieniądze, jak mówi Reych).

Gdyby zatem Niemcy mnożyły się w stosunku dotychczasowym, to od dziś za 60 lat miałyby przeszło 104 miliony, a w roku 2000-ym osiągnęłyby 200 milionów ludności. Wobec takiej perspektywy można zastanawiać się nad zdobywaniem nowych terytoriów w Europie i innych częściach świata. Co jednakże będzie, jeżeli np. za ćwierć wieku Niemcy przestaną rozrastać się, a zaczną Francuzi?...

Wróćmy do zdobywcy zamorskich. Reych sądzi, że wojna Niemiec z Anglią jest nieunikniona i że Niemcy przygotowują się do niej pod każdym względem. Powiększają budżet marynarki, budują okręty wojenne, zakładają nowe warsztaty okrętowe, kształcą marynarzy. Zapał w tym kierunku jest tak wielki, że „Niemiecki związek morski” liczy już około miliona członków, a „Morski związek kobiet” posiada tysiące patryotek. Wychodzi mnóstwo broszur i książek, poświęconych sprawom morskim, a dzieła te w setkach tysięcy egzemplarzy rozsyła się między publiczność i młodzież szkolną.

„W liczbie członków gabinetu Wilhelma II jest dwunastu specjalistów, których główny obowiązek polega na tem, ażeby śledzić najmniejsze poruszenia Brytańczyków we wszystkich częściach świata. Wogóle można rzec na pewno, iż tak ścisłych i cennych wiadomości o wszystkich zagadnieniach polityki europejskiej i wszechświatowej, jakie posiada Wilhelm II, nie ma ani prezydent republiki francuskiej, ani cesarz Austro-Węgier, ani król Italii”.

Oto—jest jeden z punktów ogromnej doniosłości: Niemcy nie fantazyują, jak się to nam naprzykład zdarza, ale badają zarówno swoich przyjaciół, jak i nieprzyjaciół, jak i cały świat. Oni wszędzie mają uważnych i mądrych obserwatorów, o wszystkim starają się wiedzieć, no—i zapewne, gdy im potrzeba, umieją w odpowiedni sposób działać.

Anglikom zarzuca Reych, że lekceważą potęgę i działalność Niemców, za co mogą

straszną cenę zapłacić. „Ani Jena, ani Sedan nie równałyby się co do następstw z katastrofą, która stanie się nieuniknioną na wypadek przegranej przez Anglików morskiej bitwy w walce z Niemcami”—mówi autor. Na szczęście dla Anglii, a może i dla cywilizacji, Anglicy już nie tylko spostrzegli się, ale nawet zaczynają... lękać się Niemców. *Timor Dei initium sapientiae*—strach Boży jest początkiem mądrości.

Tyle o obłąkaniu wszechniemieckim, o ich pysze. Kiedy czytam objawy ich egoizmu, nienawiści, mściwości, pogardy dla najwyższych zasad moralnych, mimowoli przychodzą mi na myśl cytowane we wszystkich stylistykach słowa ś. p. Racine'a: „Widziałem uwielbianą na ziemi bezbożność. Podobna do cedru, wznosiła aż do niebios zuchwałą głowę. Zdawało się, że włada piorunami i depcze leżących u jej stóp nieprzyjaciół. Lecz przeszedłem i—już jej nie było”.

Assyryjczycy, Persowie, Rzymianie, Hunowie, Tatarzy, Hannibale, Aleksandry, Attyle, Czyngishany, Napoleony, zaświadczy, że „On tylko przeszedł i już was nie było”... A czy nazwiemy Go Bogiem, losem, przeznaczeniem czy logiką faktów, wszystko jedno. Dość, że w historii niejedna potęga, bodaj czy nie większa od pruskiej, gasła, niby zdmuchnięta świeca.

Zdaje się, do pewnego stopnia Reych ma słusność, że w państwie niemieckim istnieje ferment, przypominający jeżeli nie obłąkanie, to przynajmniej—upojenie, odurzenie zbiorowe. Byłoby jednak nie tylko niesprawiedliwością, ale poprostu—błędem zapominać, że Niemcy to naród wielki i że, obok dużych wad, posiadają olbrzymie zalety.

Przedewszystkiem ich pracowitość i energia niewiele mają sobie równych w historii. Gdzie jest kraj na kuli ziemskiej, do którego nie trafiłby niemiecki handel, gdzie gałąź techniki czy nauki, nad którą nie pracowaliby Niemcy z chwałą dla siebie, a pożytkiem dla ludzkości? W budowie okrętów wojennych dorównują Anglii, w pracach nad balonami kierowanymi doganiają Francuzów, ich fizyk Roentgen odkrył niewidzialne promienie światła, a drugi—Hertz, zbadał fale elektryczne i umożliwił wynalazek telegrafów bez drutu.

Dobrobyt jest ogromny, robotnicy mają zabezpieczoną starość, chorzy—szpital, sieroty i starcy—przytułek. Niemiec lekceważy encyklopedyczną wszechstronność, on woli stać się doskonałym w granicach pewnej specjalności. Współzawodnictwo fachowe, klasowe, nawet religijne, nie wyłącza u nich wielkiej solidarności, a społeczna karność jest dla nich punktem honoru. Dzięki tym zaletom mogą tworzyć najrozmaitsze stowarzyszenia, w dodatku: ogromne tak pod względem liczby członków, jak i kapitałów.

Innym przymiotem Niemców jest samokrytyka. Po wojnie zwycięskiej 1870 roku—mówi Reych—wojskowi zadali sobie pytanie: czy Francja, przeciągając jeszcze na kilka miesięcy kampanię, mogła była zniszczyć armię niemiecką? i odpowiedź wypadła twierdząca. „Wykazując własne omyłki, spodziewają się Niemcy naprawić je w przyszłości”.

„Niemiecki ojciec rodziny—mówi Francuz H. Lichtenberger—nie ma takiej, jak nasi, ambicji, ażeby dzieciom zostawić majątek i uwolnić je od wszelkich kłopotów. On daje dzieciom zdrową edukację, przygotowuje do walki o byt, a resztę—zostawia ich własnej energii i pracy”. Tenże Lichtenberger inaczej traktuje pychę Niemiec, aniżeli Reych. „Niem-

cy—mówi—dążą do potęgi, do władzy, hołdują sile, ale nie tej brutalnej, tyrańskiej, kapryśnej, która w głupi sposób zwalcza prawo. Oni czczą siłę inteligentną, zastanawiającą się, która narzuca się innym tylko przez swoje cnoty i wartość”.

Słowem, wielkie i dla świata niebezpieczne błędy Niemców zdają się być zaszczone im przez imperyalizm, militarizm i pruską biurokrację, zaś ich zalety są własnością narodu. Trzeba zabezpieczać się od ich wad, ale cnoty naśladować, a nade wszystko poznać Niemców dokładnie i unikać przeciw nim jałowych demonstracji, które ich drażnią i nikomu nie przynoszą pożytku, a nas, a nas... ciężko kompromitują!...

TADEUSZ MICIŃSKI:

Z MOTYWÓW DALEKIEGO WSCHODU.

I. NA ŚMIERĆ CHŁOPCA.

Kochane dzieciątko! by gonić za modremi ważkami, tak od nas daleko odbiegłeś, nie litując się nad nami—tak daleko—ach, tak daleko—

II. KOBIETA, KTÓRA WSTRZĄSNĄĆ MOŻE PAŃSTWEM.

Gdy moja ukochana przyszła na świat, zamknęto jej małe nóżki w żelazną skrzynię—

i moja Bardzo Kochana nigdy nie wejdzie w mój sad.

Nim z bytów zagrobnych wstąpiła na świat, zamknęli jej serce w żelazną skrzynię:

i Ta, którą kocham, ze mną ku niebu nie płynie!

Kwiat się rozchylił nad wodą głęboką—wodą głęboką!

Zatopić chcę, jakby jej sercem był ten lotus czerwony!

Tajemniczy sen wód ciemnych jest wstrząsniony—

Słońce na skraju nieba gaśnie, tonąc w Mroku!

Siadłem w ubogą łódź, myśląc, że wicher rozprószy mój smutek, i wziąłem flet, tak ulubiony przez ciebie!

Zda mi się, że łódź moja ślizga się po niebie, ukochana moja—tak się odbija w mej duszy...

Wiatr zerwał listki z wierzb, one upadły w jezioro i odpłynęły na fali, jak me wspomnienie...

Leżę nad brzegiem wód, już zasłuchany w milczenie—

Krażę, jak zwiędły liść, jesienną smutną porą...

Ach, w przygnębieniu mem pełne są chmur moje pieśni!

— — — — Płynę do jej pałacu, z trudem unosząc me wiosła.

Woda, jak jedwab migliwy, a chmura ciemna wyrosła nad tą głębina, w której o szczęściu nikt nie śni!

.....Wpłynąłem w cichą zatokę, gdzie kwiecie nenufarów lśni się.

Na zamkowym tarasie widzę: król! leży niedbale—

Przed nim—

Urojona ma Piękność, niby kwiat, zanurzony w kryształ, w wyczerpaniu rozkoszą, wsparta na krwawym jaspisie.

Nieuważnemi rękoma rwie igły z czarnego cyprysu i rzuca w głębię, gdzie igra księżyc z chmurami— — —

Leży król martwy!

...Ona na harfie gra mi!

Ja— — — — szydź!

— — — — drżą cienie drzew olbrzymich nad mroczną, bezdenną wód misą!



GOSPOSIA

FRANCISZEK EJSMOND

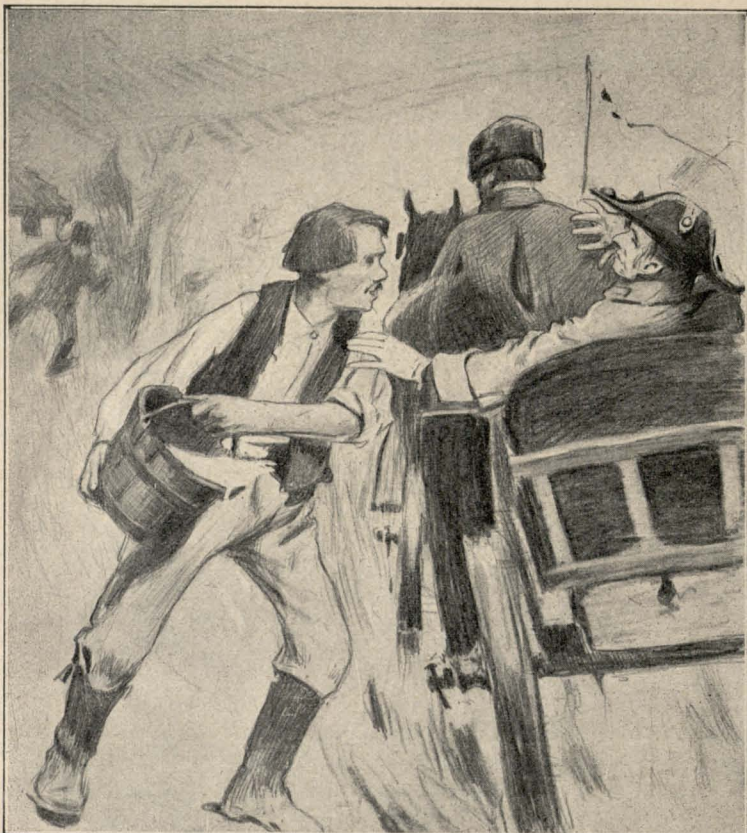
LUDWIK ROMOCKI.

DYNGUS PANA LANDRATA.

Pierwszy powiew wiosny pamiętnego roku 1848 ożywił niewytłómaczonym sposobem w sercach ludów stłumione i przygasłe nadzieje, wskrzesił dawne marzenia z przed pół wieku, w niedalekiej przyszłości ukazał znów to, co na zawsze zdawało się niedoścignym, nieodzownie straconem, jutrenkę swobody, słońce wolności. Skute żelaznymi łańcuchami świętego przymierza narody drgać zaczęły w okowach, próbować rozluźnić pęta, trząść kajdanami. A wtedy stała się rzecz jeszcze trudniejsza do pojęcia. Na sam brzęk targanych oków zaczęły się chwiać trony, tak potężnie, zdawało się, ucementowane na gruzach wielkiej rewolucji. Ostrożny Ludwik-Filip pierwszy wziął parasol pod pachę i drapnął. Nic dziwnego, *Galli semper novarum rerum cupidi*, ale i kilku odwiecznie panujących książątek niemieckich wypędził ich wierny lud, gdy zaś Fryderyk Wilhelm w Berlinie cześć złożyć musiał ofiarom marcowych zamieszek, najwięksi pesymiści wierzyć zaczęli, że nadeszły czasy nowe.

W Wielkopolsce pruskiej, germanizowanej pośpiesznie, z pomocą landszafty, chętnie dającej wysokie pożyczki obywatelom, ale jeszcze chętniej wystawiającej potem ich majątki na subhastę, i inscenizowanych przez policję poznańską spisków, odżył duch. W pałacu Działyńskich zaczęła się gromadzić szlachta, po dworach i zajazdach zaczęły się snuć tajemnicze figury, imiona bohatera wolności, Garibaldiego, i szarlatana jej, Mierosławskiego, przebiegały z ust do ust, lud zaniepokojony zaczął się, w miarę wpływów, które go ukształtowały, dopytywać to dziedzica, to landrata.

Nadeszła Wielkanoc. Widziano w niej symbol zmartwychwstania, ten i ów dwór obchodził ją tem huczniej. W Bąblinie nad Wartą, tak nazwanym od bąbli, tworzonych przez wir rzeczny, w obornickim powiecie, pan Erazm Dobrzycki i pani Antonina z Morzkowskich tradycyjnie rok w rok, sami dzieci nie mając, krewnym i znajomym wyprawiali wspaniałe święcone. Zjeżdżały się spokrewnione i sąsiedzkie domy Turnów, Kwileckich, Radońskich, Łubieńskich. Pan Erazm, człowiek już niemłody, po polsku się jeszcze noszący, nade wszystko lubił gości i wesołość. Polakiem się czuł w przeciwieństwie do wie-



Strumień wody chlusnął po landracie.

lu już wtedy zniemczonych, jeżeli nie językiem, to duchem, szlachty-braci, strój zachował, na Szwabów głośno wymyślał, do Berlina nie jeździł i o urzędy pruskie nie stał. Jednakże rok 1831 zostawił go być pono za piecem, jak znaczną większość ówczesnej poznańskiej młodzieży i jak jej dziewięć dziesiątych miała zostawić w ciepłym kącie ostatnią próbą naszą odzyskania niepodległości z orężem w rękę. Z Janem Henrykiem Dąbrowskim zamarł był patriotyzm Poznaniaków, patriotyzm czynny, łączny z innymi dzielnicami, ustępując oględnemu i wygodnemu hasłu: „robić geld i nie narażać się rządowi”, w łączności z rewolucją niemiecką miał jeszcze raz, czysto lokalnie, przeżyć. Bawił jednakże stale w domu państwa Erazmów jeden z żołnierzy Chłopiczkiego, i to z niepośledniejszych, bo przyjaciel i współnik spisku Łukaszińskiego, kapitan Mikołaj Dobrzycki. Nie był nawet wcale krewnym poznańskich Dobrzyckich, szczytujących się Leszczyńcem i wspólnym pnieniem z Leszczyńskimi, tylko imiennikiem. Miał on zginąć nieco później w tymże samym czasie, gdy mu, patrzącemu na tę ruchawkę z taką samą niewiarą, jak ongi naczelny wódz na powstanie listopadowe, i odmawiającemu dowództwa przy szturmie na Oborniki, kosynierzy kosy za szyję zasadzili i do wiedzenia ich zmusili. Padł w tej utarczce jeden z pierwszych, a w Bąblinie ma pomnik.

Ale wtedy, pomimo pierwszych utarczek, nie myślał jeszcze nikt o krwawych ofiarach, które niebawem złożyć wypadnie, nie zdawał sobie sprawy z grozy chwili nawet pan landrat Pfeffer. Bywał on częstym gościem u Dobrzyckich, gdyż wtedy jeszcze nie doprowadzeni do ostateczności obywatele żyli z urzędnikami, zwłaszcza gdy który z nich posiadał talenty towarzyskie.

Zapytany o te ostatnie przy pierwszej bytności u państwa Erazmów, Prusak oświadczył, że gra na flecie.

— Będziesz wielmożny pan miał ku temu u mnie sposobność — zaśmiał się gospodarz i skinął na służbę. Przyniesiono rurę szklaną, długości metra, a jakich trzech centymetrów średnicy, którą, napełnioną winem,

jednym haustem trzeba było wychylić. To był flet pana Erazma.

Landratowi instrument ten wcale się podobał, i od-tąd grywali duety z sobą.

Nie protegowała tego pani Antonina.

— Wylej tu — rzekła raz, gdy pili o zakład i jej mężowi oczy na wierzch wy-lazić zaczęły — nikt nie widzi.

— Bóg widzi — odparł pan Erazm i wypił.

To też panu Pfeffrowi, małemu urzędniczynie, wyrosłemu z niczego, bardzo po myśli była instrukcja urzędowa, nakazująca mu utrzymywać kontakt z ludnością tubylczą, wpływać na nią w duchu asymilacji z resztą państwa, a o wszelkich oporach zachciankach natychmiast wyżej donosić. Trzymał się jej ściśle, zwłaszcza na polu kontaktu muzycznego.

ALF. KARPIŃSKI

Tem bardziej mu po-żądane było zaproszenie na paradny obiad w wielkanocne święta do Bąblina, że stary biurokrata, wykolejony zupełnie przez przelewające się prądy wolnościowe, obiecywał sobie tam, w spodziewanym licznie towarzystwie niejednej recepty, potrzebnej mu do orientacji, dowiedzieć się, a przełożonym cenny raport złożyć. Przyglądziwszy więc rzadkie bokobrody, małą figurkę szczelnie w mundur zapiął, trójkątny kapelusik na głowę włożył. Trochę mu się nie podobało, że odkrytym wolantem po niego przysłano, fiskus pruski, zawsze oszczędny, na urzędowy wehikuł ani talara nie asygnował; jako to polską wiosną, zimno było jeszcze dobrze, ale pocieszył się myślą, że lekki powozik po piaszczystej drodze brzegiem Warty prędzej się potoczy.

Dom mieszkalny w Bąblinie, raczej pałac, gdyż na budowę ich szły w Księstwie pieniądze landszafty, prezentował się wspaniale, jako duży budynek z wysokim piętrem, z dachem, blachą pokrytym. Nad framugami okien widniały gzymsy w orły, oddawna solą w oku będące landratowi, do pokojów mieszkalnych prowadziło kilkanaście schodów, będących mu również solą w oku, gdy po duecie przychodziło po nich zstępować. Pałac stał nad urwiskiem, zamienionem w tarasy, którymi schodziło się ku dawnemu szerszemu łożysku Warty, węższą błękitną wstęgą po nim się wijącej. Po drugiej stronie rzeki czerniały lasy sosnowe. Jednakże nie tyle na myśl o rozkoszy oglądania pięknych widoków natury odetchnął z zadowoleniem landrat przy wjeździe do wsi, ciągnącej się długim szeregiem chałup nad drogą, a nawet nie nadzieje ukazującego się już w blizkiej perspektywie smacznego obiadku, nie z jednym fletem tylko w akompaniamencie, ale z całą orkiestrą, orzeźwiła go tak, ale wprost o obawę zaczęła go przyprawiać nie-

zwykła postawa ludu, po drodze spotykanego. Nie leciały ręce do czapek, nie zginały się plecy do samej ziemi, gorliwi nie przypadali do ręki namiestnika królewskiego na ten cały powiat. Czapki ledwo jeden i drugi poprawił, ten i ów głową kiwnął, patrząc się wyzywająco: Ha no, tera zobaczymy, czyja będzie na wierzchu.

Landrat zanotował do berychtu słowo „renitent”, trzy razy podkreślone.

Fornał, wiozący go, którego zaczął badać, ledwo się odwrócił na koźle i niby nie-umyślnie batem machnął mu pod samym nosem. Poczem zaklął coś o szkiebrach i zapowiedział landratowi, co ten nie bardzo zrozumiał, że dziś Polska będzie.

Przed chałupą sołtysa, przy studni, parobczaki sprawiły właśnie dyngus jakiejś dziewczusze. Zwyczaju tego dopełniali sumiennie i gruntownie, bo, trzymając ją, ci za głowę, tamci za nogi, w powietrzu poziomo nad studnią, oblewali bez litości kubkami wody. „Ady, żeby dobrze namiękła!”

Dziewka wiła się i rzucała, jak piskorz. Pomimo konieczności poddania się tej procedurze, o ile się jeszcze tego roku chce wyjść za mąż, którą uznawała, namiękanie wodą temperatury pod ten czas zimowej nie musiało być rzeczą przyjemną; korzystając więc z chwili nieuwagi swoich dręczycieli czy adoratorów, którzy odwrócili głowy ku nadjeżdżącemu powozowi, wyrwała im się z rąk i rzuciła do ucieczki, drogą wprost na wehikuł z landratowską osobą. A już z kubłem puścił się za nią parobczak, pewno najstarszy jej wielbiciel; wolant stanął w drodze. Jedną chwilę wzrok urzędnika skrzyżował się z oczyma goniącego. W zwykłych czasach jednej brwi drgnienie byłoby osadziło w miejscu i odrzuciło w tył tamtego, ale dziś już strumień wody, w za krótkim łuku wyrzuconej, chlusnął po landracie. A cała banda rebelizantów w śmiech.

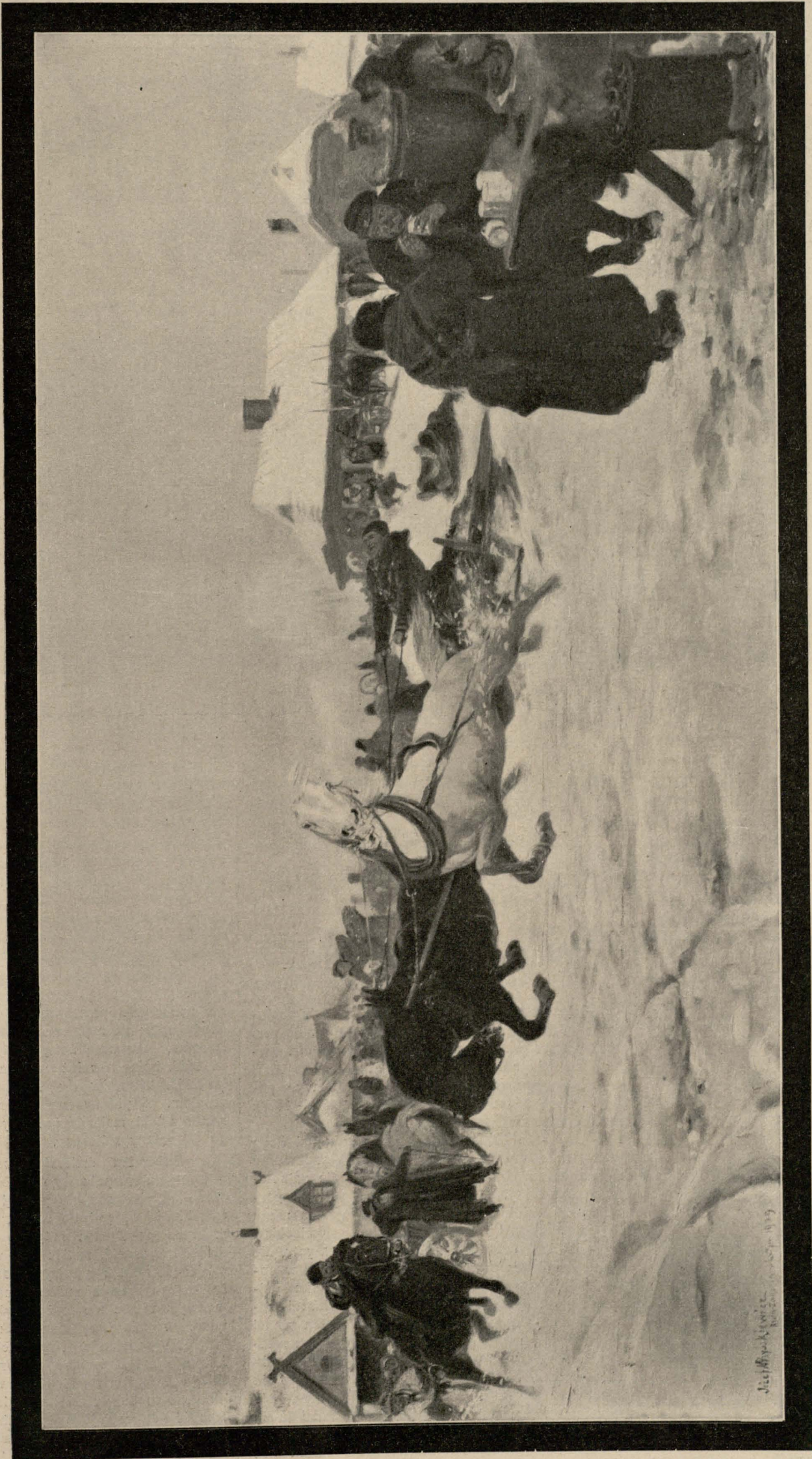
Teraz dopiero, wobec takiej zuchwałości, zrozumiał biedak całą groźbę położenia.

We dworze dano przemoczonemu zupełnie na zmianę kostyumu do wyboru: albo szaty polskie gospodarza domu, albo stary frak liberyjny służącego Jana. Bo z nowym się Jan nie chciał rozstać wobec tak licznych dzisiaj



I landrat wypił na klęczkach toast.

ALF. KARPIŃSKI



ROZBIEGANE KONIE
Z wystawy „Pracowni” w Salonie T. Z. S. P.

JÓZEF RYSZKIEWICZ



KRAJOBRAZ

KAROL FERDYNAND FABRYCY

zjazdu gości. Pan Pfeffer, po krótkim namyśle, uznał też za mniejsze z dwojga złego i mniej obniżające jego powagę, a ku zadokumentowaniu pojednawczego usposobienia odpowiednie kontuszowe ubranie. Wyglądał w niem, jak mała w szynelu.

Ale gorszy cios i drugi dyngus, moralny, miał go spotkać przy obiedzie. Dolatywały go rozmowy głośne—nie tajono się wcale—o spodziewanych swobodach, o niezgodzeniu się przenigdy na rozpuszczenie pozostawionych układem kadr wojska narodowego, o pięknych pannach Koszutskich, które, wpadłszy konno do Trzemeszna, kokardy białe z amarantowem każdemu przypinały, a potem przy dźwiękach naprędce wynalezionej skrzypki z tak udekorowanymi na rynku tańczyły... „Zdrowie Polek!”—szły inne zdrowia i toasty, jedne za drugimi, ale na jakąś inną nutę, niż zwykle, dźwięczniejsze, pełniejsze, hardsze, a Pfeffrowi wydawało się wątpliwem, czy dozwolone, ale dla pewności spełniał je, aż wstał gospodarz. Nie flet miał w rękę, ale wielki kielich, organem zwany. Nie węgrzyn jednak mówił przez pana Erazma, bo tego znieść mógł każdą ilość, głowy nie tracąc, ale chwila rozgrzała jego, jak innych, i mogło być wielu gorętszych, czynniejszych patriotów w kraju, ale to, co myśleli oni, w co wierzyli i o czym marzyli, zadźwięczało teraz w jego słowach. Gdy tak mówił, patrzyła na niego z rozrzewnieniem pani Antonina, a kapitana Mikołaja twarz, sucha, wygolona, zaróżowiła się. Pod sufit wysokiej sali wyleciały ostatnie słowa: „...Polski odrodzonej!” Milcząc, w wzruszeniu spełniono ten toast. Tylko Pfeffer kręcił się niespokojnie, nie, to już przechodziło jego instrukcję. A tu za nim stał już Jan służący z butelką, nagłąc do wypicia. „Bo jasnie pan się gniewa, że

wielmożny pan nie pije”. I rzeczywiście, pan Erazm rozgrzał się, fantazyja szlachecka zakipiła w nim.

„Na kolana, Niemcze, zdrowie Polski odrodzonej!”

I landrat wypił na klęczkach ten toast. Tak było w roku 1848.

FABRYCY WARSZAWIANIN,

MALARZ NADWORNY CESARZA LEOPOLDA I.

Cesarska galerya obrazów w Wiedniu posiada w oddziale szkół „niemieckich” pod numerem 1602 krajobraz, malowany na płótnie, 57 cm. wysokości, 69 cm. szerokości, który do roku 1906, t. j. najnowszego wydania „Przewodnika po galerii”, nosił miano „Kilian Fabritius (1630—1677), malarz nadworny w Dreźnie”.

Do roku 1906 figurował ten obraz pod flagą szkoły niderlandzkiej. Fabritius Kilian, nadworny malarz drezdeński, był jednakowoż, wedle najnowszych badań tylko malarzem historycznym i portrecistą. Krajobrazów nie malował nigdy, a mimo to przypisywano mu je w galeriach niemieckich, bo o istnieniu innego Fabrycysza, pejzażysty, nie wiedziano. Raz tylko Hagedorn wspominał w połowie XVIII wieku o „cenionym wiedeńskim pejzażystie, C. Fabritiusie”, już wtedy niesłusznie zapomnianym, ale i ta wiadomość nie ocalała go od niepamięci. Dopiero przed kilkoma laty, szukając na wiedeńskim gruncie nowych materiałów do historii sztuki, natrafiłem na imię malarza, Karola Ferdynanda Fabritiusa, Warszawianina rodem, którego pobyt trzynastoletni w Wiedniu aktami da się udowodnić. Pierwszą i najważniejszą wzmiankę o nim znalazłem w metrykach ślubów parafii św. Szczepana, zapisaną temi słowy: „Roku 1659, dnia 29 lipca „copulatus est” szlachetny (a może tylko sławetny? „der Edl und Kunstreiche”) j mistrzowski pan Karol Ferdynand Fabritius, malarz, rodem z Warszawy w Polsce, z cnotliwą panią Regina

Kögl, wdową po ś. p. malarzu cechowym *Janie Ludwiku Kegl* (sic). Świadcami byli: Jan Miller, mal. cech., i Jan Modlsee, toż samo”.

Drugą wiadomość o naszym Fabrycy znajdujemy dopiero w protokołach zmarłych, gdzie czytamy, co następuje: „R. 1673. dnia 23 stycznia oglądano zwłoki Karola *Ferdynanda Fabritiusa*, nadwornego malarza, zamieszkałego na przedmieściu Leopoldstadt domu Scholza, który w d. 21 stycznia przypadkiem sam się zastrzelił, mając lat 36”.

Fabrycy, żeniąc się z wdową po malarzu, prawdopodobnie był uczniem zmarłego, lub w jego warsztacie pracował, bo zwykle wdowa wychodziła tak za męża celem dalszego prowadzenia interesu. Pierwszą żoną Kęgl, poślubioną w roku 1645, była również wdowa po malarzu niderlandzkim *Samuelu du Mesnil*, którego on był uczniem. Stąd łatwo zrozumiemy niderlandzki charakter sztuki malarskiej Fabrycego, i dlaczego go do tej szkoły zaliczano.

Dokument śmierci Fabrycego poucza nas o wyższym stopniu jego uzdolnień artystycznych: skoro po pierwsze nie przyjął prawa miejskiego, to jest nie wstąpił do cechu, ale pozostał wolno praktykującym, choć mógł to łatwo i z korzyścią dla siebie zrobić, żeniąc się z wdową po malarzu cechowym, z gotowym warsztatem, a powtóre, że osiągnął tytuł malarza nadwornego, którego w owym czasie nie można było jeszcze kupić, ale tylko, w miarę wykazanych zdolności, uzyskać.

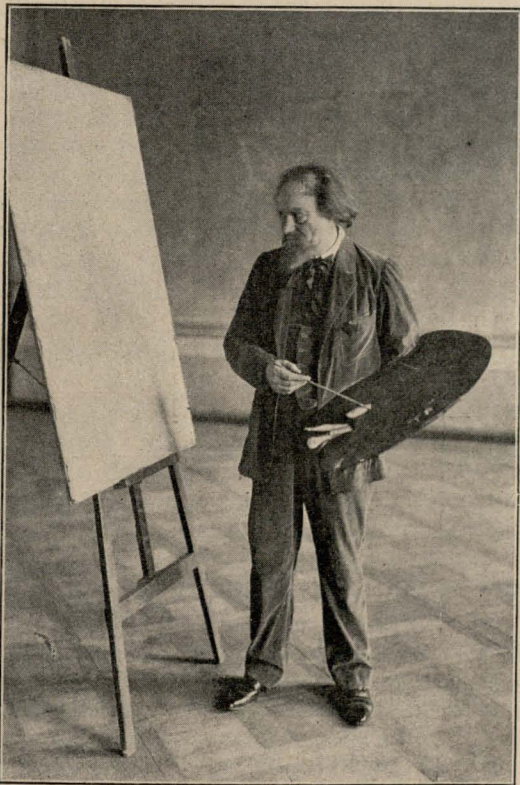
Na podstawie powyższych materiałów umieścił p. Ernst Sigismund w tomie XXVIII berlińskiego „Repertorium für Kunstwissenschaft” artykuł o „nowo odkrytym pejzażystie”, gdzie podaje wiadomość o czterech jego obrazach, z których atoli tylko jeden się dochował, a mianowicie wyżej wspomniany w galerii wiedeńskiej, którego reprodukcję tu zamieszczamy. Fotograficzne zdjęcie tego obrazu zawdzięczam uprzejmości dyrektora galeryi cesarskiej radcy dworu, Augusta Schäffera, za co mu niniejszem dzięki składam.

ALEKSANDER HAJDECKI.

WIECZORY TEATRALNE.

„Szkola obmowy” Sheridana w Rozmaitościach.—Wprowadzenie na repertuar dramatyczny „Kolegi Cramptona” Hauptmanna.—„Lekarz na rozdrożu” Shawa w Teatrze Małym.—Stara porcelana; fajansy pospolite i szkło wydymane „modern-style”.—„Modelka” Testoni’ego, która za model nikomu z wi-dzących służyć nie powinna.

Traf najwykleszy pod słońcem poprowadził ostatnimi dniami warszawski repertuar dramatyczny po linii następującej: od prześwietnej, klasycznej komedii Sheridana „Szkola obmowy” z roku 1776 *via* przekwitającą już dziś wyraźnie, a rozreklamowaną sztukę Hauptmanna „Kolega Crampton” z roku 1892 aż do rozdziwionego, ultra-modernistycz-



Mieczysław Frenkiel w roli tytułowej w sztuce Hauptmanna: „Kolega Crampton”.

nego „Lekarza na rozdrożu” Bernarda Shawa z roku 1906.

Sposobność dano nam napatrzania się i nasłuchania różnych różności i do snucia wcale niecodziennych refleksji.

Doskonale wystawiona, wyreżyserowana i grana stara komedia angielska, opatentowana przez sąd krytyczny kilku pokoleń i areopag najwytrawniejszych znawców arcydzieła wszechświatowej literatury, wywarło dziś jeszcze, tu, na nas wszystkich głębokie, jak najszlachetniejsze wrażenie. Istna rewelacja! Bez pomocy żadnego sugestywnego, uroczystego pietyzmu, stare to wino okazało się w smaku przednie, pożywne i rozgrzewające. W założeniu—farsa, w rozwinięciu—komedia, w technice scenicznej—skończony majstersztyk, „Szkola obmowy”, osypana subtelnym dowcipem, jaśniejąca zazdrością budzącą kulturą, dystygowana i pogodna, bynajmniej nie przywodzi na myśl jakiegoś „szacownego antyku”. Jest w niej tylko styl precyzyjny, a najautentyczniejszy, przypominający, że mamy przed sobą okaz z dawno przeminionej epoki.

Przedewszystkiem zaś owa „Szkola obmowy”, tak głęboka i różnorodna w psychologii i charakterystyce występujących osób, tak błyskotliwa *à la* Oskar Wilde, tak pełna pierwiastków nieomal wszystkich, którymi operowali lub operują do dziś dnia koryfeusze komedypisarstwa, ma prawo wydawać się nam jakby fundamentem i pra-źródłem całej twórczości dramatycznej w zakresie komedii XIX wieku.

Nie od Arystofanesa, nie od Moliera pochodzą owi wszyscy twórcy nowoczesnej t. zw. wyższej komedii, zwłaszcza t. zw. „salonowej”, których imiona na pamięć umiemy, lecz—od She-

ridana. „Wstrzymał słońce, zruszył ziemię”—i od-tąd komedia współczesna, dalibóg, niedaleko od-biegła od zakresu, a nawet faktury „Szkoly obmowy”. Strzelały z tego pnia pędy i odrósła rozma-ite z każdą nową wiosną, nawet jedna, druga ga-łąź wplotła się w stare, rozłożyste konary sheridanowe, lecz z „przybytków” tych któryż okazał się lub okaże trwalszym, niż ów kadłub angielskiego dębu, wyrosłego z gleby, tak urobionej już starą kulturą, jak społeczeństwo angielskie z drugiej po-łowy XVIII wieku?

Dziś jeszcze możnaby śmiało usunąć nazwi-sko Sheridana z afisza, zastąpić stroje roccoco terażniejszymi tużurkami i smokingami i grać ową „Szkolę obmowy”, jako wyborną nowość współ-czesnego repertuaru.

W Rozmaitościach tedy uraczono nas zarów-no arcyciekawym i pouczającym pokazem, jak rzetelną rozkoszą estetyczną. Eksperyment udał się w całej pełni, a honoru przysporzył niemało scenie naszej dramatycznej. W tem wzięciu szturmem nastroszonej trudności sztuki Sheridana oży-ły, zda się, najlepsze czasy teatru Rozmaitości, i po-ziom jego podniósł się nagle o stóp niemało.

Najosobliwszym odcieniem tryumfu „Szkoly obmowy” wśród szerokiej publiczności było to, iż owa szeroka publiczność chwilami zapominała, że ma przed sobą starą „klasyczną” komedię. Taką siłą żywotną talentu ma w sobie sztuka, sięgająca poprzez schłostane niemilosierne niektóre rysy ówczesnej obyczajowości angielskiej w głąb ogólno-ludzkich przywar i motywów psychologicznych.

Dodajmy wreszcie efektywność świetnie uko-styumowanego widowiska, oraz grę niepowszed-niej skali artystów niektórych, aby wymienić tylko pp. Siennicką i Wojdałowicza, Lüdową i Ra-packiego.

Lecz, ugruntowawszy stały byt w repertuarze Rozmaitości tego cennego nabytku, mogącego liczyć na długie i zasłużone powodzenie, zesłiśmy z na-stępną zaraz premierą na całkiem inne poziomy.

Dlaczego uraczono nas akurat „Kolegą Cramp-tonem”? Czyliż przypomniał sobie, że ongi przed laty wyprawiono Hauptmannowi niebawomą owacę podczas premiery sztuki w berlińskim Deutsches Theater? Czy może dlatego, że w sztuce występują rzadko widywane w utworach nowo-czesnych dwie zdrowe, tegie, dobre, ze słonecznym światopoglądem ludzkie natury? Czy może dlatego, aby dać p. Frenklowi niezwykły popis w roli, uchodzącej za tragiczną?

Sądziłbym, że nie warto było puszczać na scenę naszą właśnie tak marnego bohatera dość naiwnej sztuki, jak profesor Crampton. W założeniu Hauptmanna miał on, oczywiście, budzić—litość. Tkliwe dusze zdobywały się na nią istotnie, zupełnie jak szlachetny młodzieniec Max Strähler, zakochany w dodatku w córce Cramptona. Lecz—gdy kto nie żywi miłosnych uczuć dla miłutkiej Gertrudy? Mniemam, że wolno mu poczytywać Cramptona za pospolitego opoja, staczającego się wcale nisko, niesympa-tycznego, nie tragicznego wcale, zapewniającego pretensjonalnie, że jest nie uznanym artystą, cze-mu wierzyć tylko mamy na słowo, nieznośnego zarozumiałca, podszytego kabotyzmem, rychlej budzącego odrazę, niż litość.

Jeżeli już chodziło o eksponowanie na sce-nie Rozmaitości typu w rodzaju Cramptona, lecz bohatera o wiele ciekaw-szego i głębszego, a i-istotnie, pomimo całej słamazarności, budzącego żywsze współczucie, to już trzeba było zde-cydować się na „Samot-nych”. Mielibyśmy w bieżącym repertuarze też

„coś” Hauptmanna, lecz coś o wiele lepszego, a nawet jedno z arcydzieł dramatycznych wogóle.

Tej miary artysta, co p. Frenkiel, oczywiście, że dać nam musiał Cramptona—bardzo interesują-cego. Zrobił zresztą z nim, co zechciał. Zapra-wił go sentymentem, miłym komizmem, miejscami tragicznością, zaskarbił dlań sporo sympatii. Ale też oklaskiwano, nawet bardzo gorąco... p. Frenkla, nie—Hauptmanna. Cały przeto sukces „Kolegi Cramp-tona” padł jakby—poza sztukę.

Nie dziw.

No, a Teatr Gawalewicza, z właściwą sobie dezygnacją, „wziął” i pokazał nam ostatnią, naj-świeższą produkcję Shaw’a.

Ten jego „Lekarz na rozdrożu” to już, wła-ściwie mówiąc, wcale nie utwór sceniczny. To stek, *mixtum compositum* drwin, ironizowań, sarkazmu, ciętości dyalogowej, clownowania, rozbierania do naga wszelkich kłamstw konwencyonalnych, sowi-zdrzańskiego raczenia na prawo i na lewo szcut-kami w nos, chłodnego szyderstwa, karykaturowa-nia i kpin z całego świata, nie wyłączając siebie samego. Rzecz prosta. Przejadły się wszelkie udra-matyzowane wzniosłości, tragiczności, tezy, melo-dramaty, tendencje, utylitaryzmy, wzruszenia—cały dotychczasowy arsenał i aparat dramaturgów. Tedy autor „Candidy”, „Bohaterów”, „Nigdy wiedzieć nie można” sięgnął po nie zwietrzałe jeszcze ingre-dyencje, zdolne zgalwanizować zblazowane pod-niebia. I w pogoni za coraz to subtelniejszymi i wyszukanymi osobliwościami zabrnął wreszcie w takie oto ostre dziwactwa, jak pięć aktów „Le-karza na rozdrożu”.

Tak ekscentrykom *à outrance* bywa. Shaw igrał, igrał i—doigrał się.

Ze się jednak jego talent dyalektyczny, świet-ny dowcip i cyniczny persyflaż nie wyczerpały do dziś dnia, przeto i to, co spodobało mu się rzucić... na scenę, ma jednak powab niepospolity. Słucha się tego—no, nie jako dzieła scenicznego... Ale w gruncie rzeczy, czyliż nie kwestya to czy-sto formalna wobec tego, że—nikt się nie nudził?

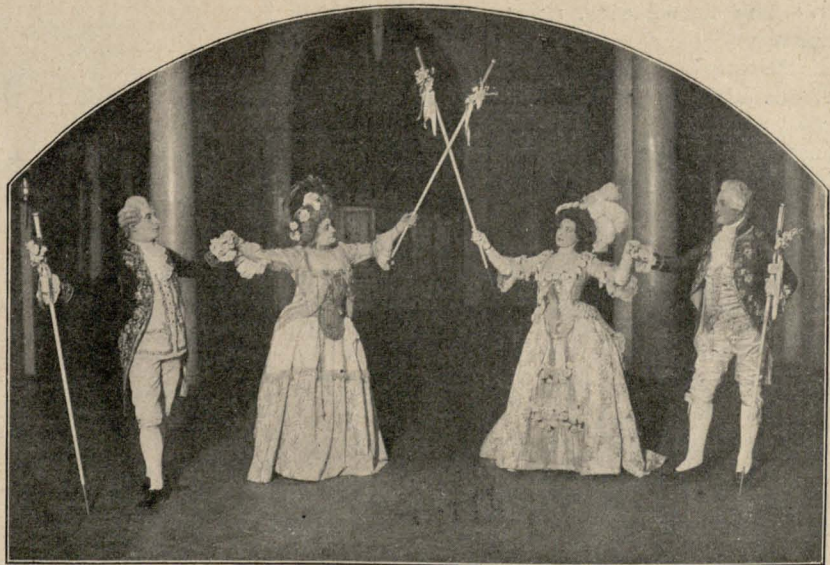
Nazwijmy tedy „Lekarza na rozdrożu”: *une conference dramatique*. I kwestya załatwiona.

Trudniejsza będzie sprawa ze znalezieniem nazwy dla niedzielnej premiery w Teatrze Małym, Bodaj, że trzyaktową „Modelkę” Włocha Testoni’ego wypadnie nazwać bez ogródek—farsą poronioną. Nie wiedzieć, czego w niej więcej, czy naiwnej nie-smaczności, czyli też nieudolności ordynarnej.

Długo wypadłoby bić się z myślami, pragnąc wyrozumić, co mogło skłonić Gawalewicza do wy-stawienia takiej prowincjonalnej włoskiej ramoty, w dodatku w przekładzie, gdzie np. patrzy ktoś „oczyma, w słup stojącymi”. Dla dania debiutu p. Kleczyńskiej? Sądziłbym, że pp. Duninówna, Dulębianka i Łącka-Pawłowska nie potrzebują kon-trastowego *repoussoir’u*.

Dwa słowa tylko jeszcze, aby choć zazna-czyć, że grają w Teatrze Małym „Lekarza na roz-drożu”—wzorowo.

CZESŁAW JANKOWSKI.



Grupa menuetowa w komedii Sheridana „Szkola obmowy”.

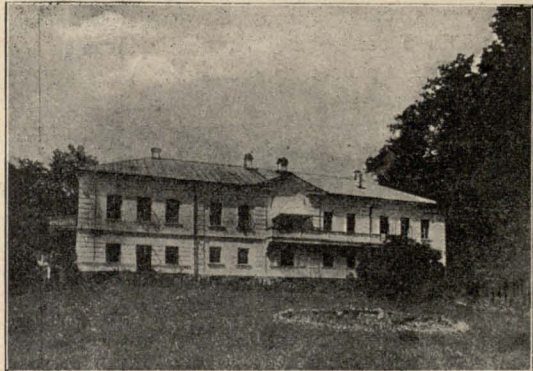
EUSTACHY CZEKALSKI:

TOŁSTOJ A PATRYOTYZM.

MOJA WIZYTA U TOŁSTOJA.

Stacya Pasięka jest to właściwie przystanek wśród lasów i pól, pokrytych grubą na sześń warstwą śniegu. Przed stacyą stoją sanki, zaprzężone w dwa konie w lejc, na koźle typowy „kuczer”. Nie widząc nikogo więcej, pytam:

- Czy nie zawieziecie mnie do Jasnej Polany?
- Zawiozę. Mnie właśnie przystali. A czy niema pani?
- Jakiej pani?
- Mówili, że będzie. Przystali szubę.
- Chwilkę czekamy dla upewnienia się, czy



JASNA POLANA.

nie „będzie” pani, a przekonawszy się, ruszamy w drogę.

Między mną a „kuczerem” zawiązuje się rozmowa. Jest zaciekawiony moją osobą. Zaczyna mnie rozpytywać, skąd, kto jestem, po co jadę? Odpowiadam wymijająco. Nie zraża się tem wcale i opowiada dalej:

— Tu do Lwa Nikołaicza wiele narodu jeździ. Różni są: Anglicy, Amerykanie, Niemcy, Francuzi. Boże mój! ilu ja sam wozili...

Chcąc przerwać mu monolog, pytam, czy daleko jeszcze do Jasnej Polany.

— Dwie wiorsty, nie więcej. Już to lubią Lwa Nikołaicza bardzo ludzie. Oj, lubią... Dobry człowiek.

Pytam się, czy prawda, że chory. Odpowiada twierdząco.

— Bieda tylko, że nie lubi kolasek. Lepiej wierzchem—odpowiada. Od tego i noga boli.

— Ach! więc noga go boli. To nic strasznego, to nic groźnego.

— Nie znaju.

Na chwilę rozmowa milknie. Obrzucam okiem horyzont, który przede mną się otwiera. Śnieg, śnieg i śnieg wokół. Słońce łamie się ostrymi promieniami, które, jak małe strzałki, wpijają się w oko. Nie przyzwyczajone do białej tej równiny, zamykają się oczy, rażone oslepiającą bielą roztoczący pól.

Pejzaże, które widzę, przypominają mi obrazy Levitau. Okolice Jasnej Polany dostarczyły motywów wielu malarzom rosyjskim. Jadę jakgdyby po znanej mi okolicy, aczkolwiek po raz pierwszy zwiedzam te strony.

A otó i nareszcie Jasna Polana. Z drogi między dwiema basztami wjeżdżamy w aleję, prowadzącą do pałacu. Pałac jednopiętrowy, pomalowany na kolor płowy. U podjazdu stoi oberwany żebrak. Otwierają się drzwi, wychodzi lokaj w czarnej marynarce o błyszczących guzikach i zabiera moją walizkę. Jestem w przedpokoju, ciepłym, kwadratowym.

Rozbieram się. Lokaj zapytuje, do kogo ma mieć „zaszczyt” zameldować?

— Do Lwa Nikołaicza i Diemiana Pietrowicza.

Daję mu bilet wizytowy, prosi mnie do pokoju i sam odchodzi.

Pozostawiony samemu sobie, rozglądam się

po pokoju. Podchodzę do jednej z szaf, widzę książki. Wydawnictwa groszowe. Na okładkach prawie wyłącznie nazwisko Tołstoja. Wtem spojrzenie moje pada na broszurę, zatytułowaną: „Jan-ko-Muzykant”. Szukam, czy nie znajdę jeszcze czegoś polskiego. Niema.

Lokaj wraca i oznajmia mi, że Demian Pietrowicz zaraz przyjdzie. Ma pacjenta. Jak go załatwi, natychmiast przyjdzie. Za chwilę zjawia się i sam Demian Pietrowicz.

Blondyn o jasnych, szafirowych, rozmarzonych oczach, szczupły, wzrostu średniego, robi wrażenie człowieka nie z tego świata. Jest w nim coś, co mówi, że ten człowiek nie mógłby zrobić nikomu krzywdy.

Następuje powitanie. Przeprasza, że nie przyszedł zaraz. Miał chorą, owrzodziłą pacjentkę, usprawiedliwia się.

— Proszę, niech się pan rozgości. Pan zapewne głodny. Ja zaraz, zaraz.

Wybiegł, przyniósł mi kawę i bułki z mąsem.

Mówimy na wpół po polsku, po rosyjsku, a Demian Pietrowicz niekiedy po słowacku.

Demian Pietrowicz, lekarz domowy Tołstoja, jest z urodzenia Słowakiem. Zachwycony doktryną Tołstoja, przyjechał do Jasnej Polany w odwiedziny i od tej pory prawie że nie opuszcza swego nauczyciela. Dla Tołstoja żywi zbożny kult w duszy. Każde słowo mistrza jest mu Ewangelią. Uprzedza mnie, jak kochająca matka:

— Tylko nie sprzeczasz się pan z Lwem Nikołaiczem; dziś rano miał mały atak astmy, to mu szkodzi.

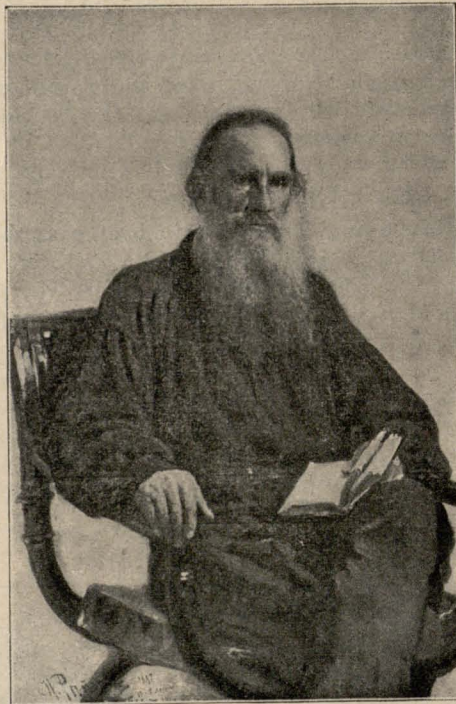
Pytam, czemu uprzedza fakty...

Rumieni się, jak młode dziewczę.

— Bo, widzi pan—mówi mi—o Polakach jest przysłowie: dwóch Polaków — trzech sprzeczących się.

Śmiejemy się.

Gdy wypilem kawę, najadłem się, Demian

LEW TOŁSTOJ.
Malowany przez J. Repina.

Pietrowicz sam sprząta i odchodzi. Słyszę, jak w kurytarzu rozmawia z lokajem. Lokaj mówi mu po imieniu. Chcę się upewnić, podchodzę bliżej do drzwi. Rzeczywiście, mówią sobie „ty”. Absolutne nieprawdopodobieństwo w Polsce.

Demian Pietrowicz wraca.

— Lew Nikołaicz wie, że pan jest. Pójdę na górę dowiedzieć się, czy przyjmie pana zaraz. Niech się pan nie krępuje, ten pokój jest na pańskie usługi.

Poszedł.

Czakam. Za chwilę mam zobaczyć człowieka, którego dzieła podziwiałem. Nie zgadzam się zasadniczo na sposób pojmowania przez niego ży-

cia, kultury, ale nie mogę nie zachwycić się jego wielką pracą.

— Proszę, idziemy na górę. Lew Nikołaicz chce pana widzieć—słowami temi budzi mnie Demian Pietrowicz z rozmyślań.

Mechanicznie wstaję i idę. Przechodzimy przez pokój, w którym siedzi jakaś pani i przegląda wielki stos listów. Na lewo z tego pokoju wchodzi do małego i widzę siedzącego w fotelu starca. Wyciąga do mnie rękę.

Przedstawiam mu się i zaznaczam, że jestem Polakiem.

Wbił we mnie swoje ostre, jasne oczy i bawczo patrzy.

— Proszę, niech pan siada—zaprasza mnie. Siadam.

— Więc pan jest Polakiem?

— Tak, proszę pana.

— Bardzo mi przyjemnie.

Rozmowa nawiązuje się szybko.

— A więc pod jakim zaborem najlepiej Polakom?—pyta mnie.

— Pod żadnym—odpowiadam.—W Austrii mają najwięcej wolności politycznej, ale za to też najwięcej tam nędzy. Prusy, zapewne pan wie, jak się obchodzą z Polakami, a o Rosyi myślę, że nie potrzebuję wspominać.

Westchnął starzec. Oczy mu się rozszerzyły, a ja mówiłem dalej:

— Mówią, że i pan nie zawsze żywił jednokowe sympaty dla nas?

— Ja? Ja zawsze kochałem i kocham Polaków. Są mi braćmi w Chrystusie. Jestem ponad wszystkimi przesądami narodowościowymi. Dla mnie pojęcie narodowości nie istnieje. Ja nie jestem Rosyaninem, jestem człowiekiem.

Chcę mu przerwać, nie mogę, gdyż, nie zwracając uwagi na moje repliki, mówi dalej:

— Czytam teraz Hohola. Czuję jakiś wstręt dla tych „istotno-rosyjskich” stronic, uświęcających wyłączność narodowościową, a więc ohydę, nurtującą Rosyę. Toż samo wrażenie miałem, gdy czytałem Bielińskiego. Kwestya patryotyzmu u Rosyan wogóle jest wstawianiem w lud prosty uczuć, które nigdy w sercu jego nie gościły. Chłop rosyjski nie jest „cerkownikiem”—pracuje w niedziele, pracuje w święta, bo tylko pytanie, jak żyć, jak wyżyć, ma dla niego znaczenie. Gdyby nie kary, pracowałby i w cesarskie święta, ale to zabrania się surowo. Zewnętrzny przymus robi z niego obrońcę ojczyzny, wewnętrznie jest mu obojętna, nie zdaje sobie nawet sprawy, że takie uczucie, jak patryotyzm, istnieje.

— To w ten sposób rozumuje chłop rosyjski, a polski w nieco odmienny, Lwie Nikołajewiczu. Historia narodu naszego zna takie postaci, jak Bartosz Głowacki, a dziś w Poznańskim dla polskości Drzymałowie znoszą okropne przesławowania.

— O kim pan mówi?

— O Drzymale.

— Któż to jest?

— Chłop polski z Poznańskiego. Statutem pruskiego hakatyzmu zabroniono mu na jego rodzimej ziemi postawić chatkę. Pomysłowość jego usiłowała w sprytny sposób ominąć prawo. Kupuje sobie Drzymała wóz, taki, jaki mają, jeżeli pan widział, wędrownie trupy komedyantów, wzmieszkanie, i wraz z rodziną przenosi się na stałe do tego wozu. Od czasu do czasu nakładają na niego kary, ale Drzymała pozostaje niewzruszony.

— Nie wiedziałem. Zdziwiający przywiązanie. Ale to nie świadczy o patryotyzmie. To świadczy o przywiązaniu do ziemi wogóle. Myślę, że w Ameryce Drzymała—by również w ten sposób się urządził.

— Nie, Lwie Nikołajewiczu. U nas w Poznańskim chłopka spowiada się księdzu, jako z ciężkiego grzechu, jeżeli zapomniła z dzieckiem odmówić pacierz *po polsku*. Zresztą być może, iż u Rosyan wobec tego, że są państwowo niezależni, w chłopach nie uświadamia się idea patryo-

tyzmu. U nas zaś, Polaków, idea polskości jest poważnym czynnikiem naszego życia.

— To tylko się panu wydaje. Życie jest tylko jedno: albo w myśl idei chrześcijańskich, albo przeciw Chrystusowi. Każdy patryotyzm jest zaprzeczeniem ideałów chrześcijańskich. „Kochaj bliźniego twego, jak siebie samego”, a co więcej: „Kochaj nieprzyjaciół twoje”, te imperatywy najwyższej moralności, na jakie ludzkość się zdobyła, w idei patryotyzmu są sprzecznością samą w sobie. Nie może przecież Rosyanin, jako państwowy człowiek, kochać Polaka. A będzie go kochał, jako człowiek człowieka, gdyż idea chrześcijanina jest poza narodowościami. Rosyanin czy Niemiec, Polak czy Francuz, wszyscy znajdują w Chrystusie swoich bólów ukojenie. Chrystus jest placówką porozumienia się wszystkich narodów. I będzie „jeden pasterz i jedno stado”.

— I dlatego wy, Lwie Nikołajewiczu, odrzucacie państwo, zwalczacie ideę państwowości?

— Bez wątpienia, bo wszelka państwowość oparta jest na gwałcie.

— Jednak, dopóki państwa, jako takie, istnieją, nie można przecież wyzywać się uczuć patryotycznych, bo przecież rozszarpałyby nas ościenne kruki.

— I to nie jest prawda. Trzeba wierzyć, że to, co jest dobre i na chrześcijańskich fundamentach zbudowane, nie zginie. Stąd moja idea nie sprzeciwiania się złemu. Zło jest w czasie, dobroć i miłość — poza czasem, w wieczności.

— U nas, Lwie Nikołajewiczu, Aryanie również głosili tę zasadę.

— Wiem. Czytałem.

Rozmowę kończymy. Lew/Nikolajewicz przeprasza mnie, iż dłużej mówić nie może. Jest zmęczony.

— Porozmawiamy po obiedzie.

— Z przyjemnością.

Kłaniam się. Chcę odejść. Wyciąga do mnie swoją suchą, żółtą rękę.

— Ale, ale, interesuje mnie *liberum veto*.

— Mogę panu opowiedzieć coś nie coś o tej instytucji.

— Będę bardzo wdzięczny. *Liberalum veto* ma dla mnie od dawien dawna jakiś dziwny urok. Kłaniam się jeszcze raz i wychodzę.

Za progiem spotykam Demiana Pietrowicza. Rozpytuje mnie, o czym mówiłem z Tołstojem. Opowiadam. Schodzimy na dół. Demian Pietrowicz zaprasza mnie do swojego pokoju. Idę. Demian Pietrowicz bierze gruby brulion i rozpoczyna coś notować.

— Co pan notuje?

— Notuję pańską rozmowę z hrabią.

— A to po co?

— Notuję wszystkie rozmowy z hr. Tołstojem.

RS

Z ANTOLOGII PRZEKŁADÓW.

BRONISŁAWA OSTROWSKA:

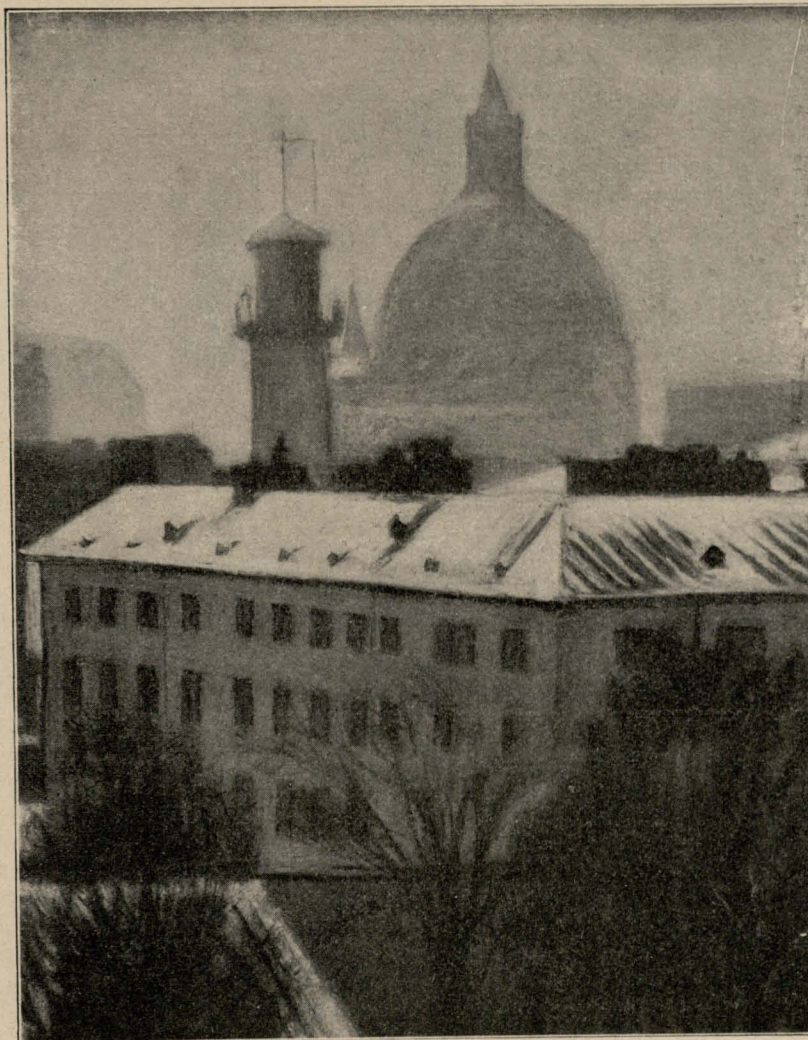
STANCE,

JAN MORÉAS.

Myślę o mórz błękitcie, o słodkich zachodach,
O zapienionej grozie w wodnych wirów leju,
Krabich norach, rybaczycy łodziach i niewodach,
Modrookiej Nerejdzie, Glaukusie, Proteju.

Myślę o tym włóczędze, co idzie śród drogi,
O starcu w przyźbie chaty gdzieś w odwiecznej wiosce,

O przygarbionym drwalu z siekierą u nogi,
O mieście, jego gwarach, duszy mej, jej trosce...



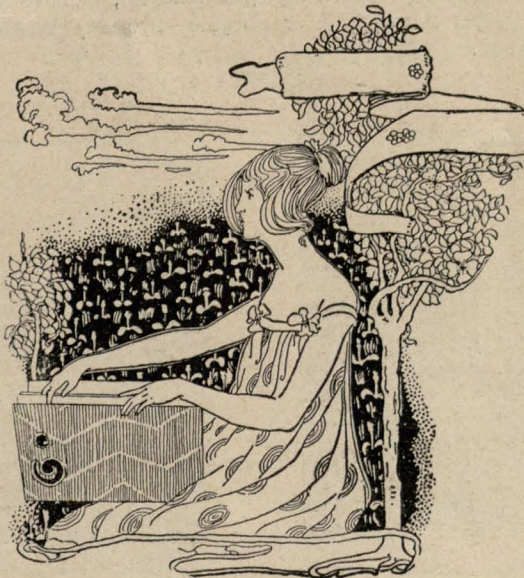
Z OKNA PRACOWNI
Wystawa „Pracowni” w T. Z. S.

KAROL BISKE

DYLETANTYZM.

Wyraz „dyletant” wymawia się u nas zwykle z lekceważeniem. Jest to i słusznie, i zupełnie niesłusznie. Słusznie dlatego, że nasz polski dyletantyzm, polegający na powierzchownym stosunku do wszystkiego, na muskaniu rozmaitych kwestii bez głębszego wnikania w ich istotę, bynajmniej nie może być uważany za zaletę. Niesłusznie, bo obok takiego istnieje jeszcze dyletantyzm inny, zupełnie szlachetny, będący dobrem prawem i obowiązkiem każdego człowieka cywilizowanego i kulturalnego.

Na pewnym poziomie życia umysłowego i artystycznego dyletantyzm taki jest wprost niezbędny. Ludziom, pracującym w jednej dziedzinie, pozwala on wiedzieć także o tem, co dzieje się w dziedzinach sąsiednich. Uczonego nie odgradza on od sztuki, artyści nie dzieli murem nieprzebytym od nauki, a jedną i drugą wprowadza w atmosferę życia każdego przeciętnego zawodowca, oddanego pracy na chleb, wprzęgniętego w ciężki



kierat codziennych trosk i kłopotów, zajętego nieustannie myślą o związaniu „końca z końcem”.

Zmateryalizowane i zmechanizowane życie współczesne, operujące gotowymi szablonami na wszystko, poziome i ciasne, nie może wystarczyć człowiekowi, którego dusza posiada jakiegokolwiek aspirację, a kto tych aspiracji wyrzec się nie chce, musi szukać pokarmu dla ich podtrzymania w obcowaniu z tem, co przynoszą ludzkości nauka, literatura i sztuka, wzbijające się ponad życie.

Z takiego obcowania rodzą się z czasem głębsze, nie przemijające upodobania, które podnoszą wartość naszego istnienia i są źródłem wielu przyjemności i rozkoszy wyższego gatunku.

Nie potrzeba być fachowym uczniem, żeby się rozmiłować w tej lub innej gałęzi nauki i pilnie śledzić jej rozwój. Nie potrzeba być również ani muzykiem, ani poetą, ani malarzem, żeby rozumieć sztukę i kochać ją prawdziwie. I to właśnie jest ów *szlachetny dyletantyzm*.

Istnieje on niewątpliwie także i wśród nas, na ogół jednak biorąc, jest jeszcze zjawiskiem o wiele radszem, niż w innych społeczeństwach.

Stosunek nasz do nauki i sztuki przeważnie bywa chłodny, obojętny. Nie dbamy dostatecznie ani o postęp jednej, ani o rozwój drugiej. Pierwszą zostawiamy całkowicie tej szczupłej garści ludzi, którzy poświęcili się jej całkowicie, drugą — uważamy raczej za rozrywkę, niż za stałą towarzyszkę naszego życia. Jest to wynik małej kultury umysłowej i artystycznej, na której wyro-

bienie składały się gdzieindziej naprzód całe wieki, a potem zgoła odmienne warunki.

Lekkość i błyskotliwość naszych umysłów pozwala nam wprawdzie przerzucać się z kwestyi na kwestyę, interesować się wszystkim i pozornie wiedzieć o wszystkim, ale poza tymi pozorami kryją się nieraz przerażające mielizny. Usunąć je, a przynajmniej zmniejszyć w niejednym kierunku, pogłębiając łożysko naszego życia duchowego, może *szlachetny dyletantyzm* — i dlatego powinniśmy go popierać i już w okresie szkolnym zwracać uwagę na to, aby młodzież, obok obowiązkowych swoich zajęć, miała także zamiłowanie do czytania poważnych książek, kształciła swój smak i głębiej obcowała ze światem sztuki. z. d.

ANNA SOKOŁOWSKA:

Hejnał wiosny.

Słyszycie głos, co dźwięczy w dali
I pieśnią zorzę wita?

Słyszycie szum potężnej fali,
Co, jako rozkosz, chwyta?

To Zmartwychwstania bije dzwon
W promiennych wstęgach świtu!
To nieśmiertelny płynie ton
Z wież niebotycznych szczytu!

Już się żywiołów bujne szaty
Podniosły w słońce wczesne!
Już się nadzieją rozspiewały
Zbudzone ptaki leśne.

To Zmartwychwstania dźwięczy śpiew
Pod jasną zórz oponą!
Jesiennej pracy wejdzie siew
I wyda ruń zieloną.

Wezbranych żądz wołaniem wieszczem
Dusza na ustach cięży...

Takim się dziwnym, nagłym dreszczem
Pierś do rozkoszy pręży.

To Zmartwychwstania dzwony z wież
Budzą serc ludzkich bicia...
Zdyszana ziemię wzdłuż i wszerz
Przebiega orkan życia!

PO MOBILIZACJI GALICJI.

Dziwne i dawno nie widziane rzeczy działy się w Galicji i w całej Austrii do niedawna. Wszędzie słyhać było chrzęst broni i czuć zapach prochu i innych strasznych ingrediencji. Stara Austrija gotowała się do wojny, która w każdej chwili mogła stać się ogromną, trudną do pojęcia hekatombą. Przygotowania te odbywały się cicho i składnie. Nie wtajemniczony nie byłby się o nich z pierwszego wejrzenia niczego domyślił. Gadatliwe dzienniki zamilkły. Funkcjonariusze rządowi stali się niezwykle małomówni. Oficerowie spoważniali. Żołnierze poznikali we wnętrzach koszar i fortów. Groźny Mars sprawował swoje rządy tajemniczo i bez hałasu i tem groźniej.

Pstrokata Austrija, której niejedni zbyt już lekkomyślnie szybki koniec wróżyli, która nie mogła nieraz poradzić sobie z buntem kilkuset burzów wszechniemieckich, zaczęła nagle ożywiać się i prężnieć z taką szybkością i siłą, jakiej mogłoby jej pozazdrościć niejedno państwo, które wobec „bummlów” rozmaitego gatunku nie zwykło okazywać słabości... Swarliwe parlamenty ucichły i z ostentacyjną gotowością pochwalały żądane przez rząd kredyty i kontyngens rekruta. Dążności odśrodkowe i irredenty, których w Austrii jest

wojny znikło z ekranu życia międzynarodowego w Europie, szerokie rzesze nie wtajemniczonych mogą powoli dowiadywać się, co znaczył ten ruch zagadkowy, który widziano, którego raczej domyślano się, w twierdzach, na kolejach, w gmachach komend korpusów i w innych ośrodkach rzemiosła wojennego. Była to mobilizacja wojsk na wielką skalę. W ciągu kilku miesięcy na południe, nad Drinę, Sawę i Dunaj, napłynęło blisko pół miliona najbardziej wyborowego żołnierza. Każdy niemal pułk wysłał tam część swoich ludzi, których natychmiast zastępowali na ich miejscach powoływani w tym celu rezerwiści. W ten sposób bez naruszenia gdziekolwiek prezencyjnego stanu wojsk, spokojnie i systematycznie zgromadziła Austrija ogromną siłę nad granicą serbską, nie osłabiając równocześnie swego pogotowia wojennego na żadnym innym froncie. I tak np. do Krakowa, skąd odeszło kilka batalionów skonsygnowanych tam pułków, oprócz rezerw przysłano honweków węgierskich, a zrobiono to tak cicho, że do dzisiaj honwecki ci stanowią raczej mityczne jakieś postacie, niż żywych ludzi, w wyobraźni przeciętnego Krakowianina.

W skutek takiego systemu mobilizacji zwyczajnego przy niej zgiełku i scen dramatycznych nie było. Powoływano rezerwistów stopniowo, po kilkunastu lub najwyższej kilkudziesięciu z jednego miasta czy okręgu. Zaopatrzeni w białe karty mobilizacyjne, zgłaszali się oni w najkrótszym czasie w komendach swoich pułków i, przeistoczeni w żołnierzy, znikali w tym niebieskim tłumie.

Dramatyczniej przedstawiały się sceny odjazdów gotowych już do boju oddziałów. Wprawdzie godziny tych odjazdów nie były nigdy napróżd znane. Najczęściej żołnierze wymaszerowywali za miasto, aby na jakiejś małej, podmiejskiej stacyjce wsiąść do wagonów. Mimo to jednak, kilka takich pożegnań odbyło się także na gwarnym dworcu krakowskim przy udziale tysięcznych tłumów. Aparaty fotograficzne przytem czynne być jednak nie mogły, ponieważ wogóle obiektyw fotograficzny stał się przedmiotem, niemiłe widzianym szczególnie w obrębie—twierdzy krakowskiej...



Komendant korpusu ze sztabem swoim omawia sytuację.

Mimo płaczów jednak, jęków i zawodzeń, które stale towarzyszą wszelkim tego rodzaju pożegnanom, duch odjeżdżających wojsk był znakomity. Wpływało na to przede wszystkim powszechne wśród żołnierzy przekonanie, że nie są pozostawieni sami sobie, że przełożeni ich i władze opiekują się nimi troskliwie i że zrobione zostało wszystko, co w mocy ludzkiej, aby biednemu żołnierzowi podróż taką i pobyt na dalekiej obczyźnie uczynić znośnym, a nawet, o ile możliwości, uprzyjemnić.

Piszący te słowa widział np. batalion sanocznego góralskiego pułku nr. 20, t. zw. „cwancygierów”, którzy w historii armii austriackiej mają swą piękną kartę, kiedy wychodził „na wojnę”. Umundurowani doskonale. Wszystko na nich, od czapki do buta, nowiusieńkie i starannie oczyszczone, tornistry z cielęcej skóry, wypakowane uczciwie, „brodsaki” (worki na chleb) u boków przywieszzone, dwie manierki, wcale dobrem winem świeżo napełnione.

Wyekwipowanie wojenne żołnierza austriackiego jest stosunkowo bardzo bogate. W tornistrze wielkim ma on zapasową parę nowych butów, dwie zmiany nowej bielizny, ręczniki, chustki do nosa, kasetkę z przyborami toaletowymi, lustro, grzebień, brzytwę, szczoteczkę do zębów, mydło, dalej nici i igły, czernidło do butów i tłuszcz do czyszczenia broni, pakiet opatrunkowy, złożony z gazy jodoformowej, plastrów i środków, tamujących mniejsze krwotoki, tudzież zapasową rację żywności, obliczoną na dwa dni, a przeznaczoną na najczarniejszą godzinę. Rację tę stanowi puszka gulaszu, konserwy i zupa grochowa w stanie stałym, kawał cukru i odpowiednia ilość pszenicznego suchara, t. zw. „cwibaku”. Dodajmy do tego jeszcze cztery zapasowe kartony naboju mannlicherowskich, a będziemy mieli pełny obraz postawionego na stopie wojennej tornistra austriackiego. Pod wielkim tornistrem mieści się mały, przeznaczony głównie na amunicję. Tu leży 100 naboju, przybory do rozbierania, czyszczenia karabina, a także i kredens żołnierski—więc miska cynowa, łyżka, widelec i nóż i ścierka do wycierania tego wszystkiego. Na lewym boku jeszcze jedna torba z płótna nieprzemakalnego, stanowiąca spiżarnię żołnierską, którą intendentura urządziła żołnierzom na drogę ze szczególną pieczołowitością. Oprócz zwyczajnej porcji chleba



Piechota w marszu.

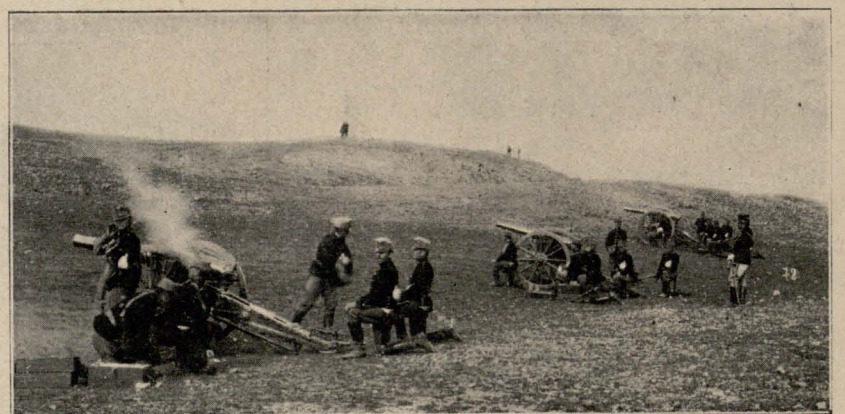
w zwykłych czasach co najmniej pół tuzina, znikły bez śladu. Nadszedł czas, w którym miała się ujawnić wewnętrzna siła pstrzej monarchii, płynąca z jej posłannictwa dziejowego. Zrozumiały tę tezę różne narody austriackie, w obu parlamentach reprezentowane, i oto świat zdumiał się widowiskiem, które dało mu to stare trzynastoletnie państwo, widowiskiem niebywałej sprężystości, niezwyklej żywotności wewnętrznej.

* * *

Dzisiaj, kiedy w wiedeńskiej świątyni Janusa przestały już brzmieć tarcze i kiedy widmo



W oczekiwaniu nieprzyjaciela.



Nieprzyjaciel za górą, dystans 8,000 metrów.

odpowiednia ilość suchej kiełbasy, suchary, konserwy, cukier, kawa, rum i po dwa decylitry wina. Mając przy boku taką spiżarnię, żołnierz nie miał powodu do zbyt czarnej melancholii, tem bardziej, że ludność ze swej strony czyniła wszystko, aby odjeżdżającym chwilę rozstania osłodzić.

W Chrzanowie np. został między innymi powołany na wojnę tamtejszy policyjant miejski. Wyjazd tego zacnego obywatela na pole niedosłej chwały odbył się wśród okoliczności zgoła niezwykłych. Oto Żydzi chrzanowscy postanowili go pożegnać solennie i ogromną gromadą, z muzyką skoczną na czele, odprowadzili go na dworzec, gdzie miał wsiąść do pociągu wojskowego, idącego wprost do Tryestu. Wsiadającemu już do wagonu dzielnemu stróżowi porządku publicznego w Chrzanowie podali Żydzi poważny kosz, wyładowany kiełbasami i mięsiwem, nad którym panowały dumnie cienkie szybki flaszki w złoczonych kapslach. Zresztą nie brakowało w tym upominku wymownym ani pomarańcz, ani ciast słodkich i cukierków. Ujrawszy ten wspaniały kosz, nowi towarzysze broni policyjanta chrzanowskiego wpadli w przewyborny humor, powyskakiwali z wagonów i nuże w tany z Żydówkami na torach kolejowych... Prowadzący pociąg porucznik długo starał się umitygować wesołość swych podwładnych, nie przewidzianą w rozkładzie jazdy pociągów, aż wreszcie kazał przypiąć do pociągu wagon towarowy i tam naprędce zaimprovizował więzienie, do którego zamknął kilku najbardziej ochoczych tancerzy. Wtedy dopiero pociąg ruszył...

Na dworcu w Krakowie odjeżdżał pewnego dnia oddział, złożony z 509 żołnierzy. Na dziesięć minut przed odejściem pociągu dowodzący oddziałem zarządził jeszcze ostateczny przegląd obecnych, i oto okazało się, że zamiast 509 jest ich 517. Ośmiu żołnierzy znalazło się za wiele. Co ciekawsze, żaden z nich nie chciał się przyznać do intruzostwa, tak że musiano dopiero po nazwiskach wywoływać wszystkich, przeznaczonych do odjazdu, aby pozbyć się ochotników...

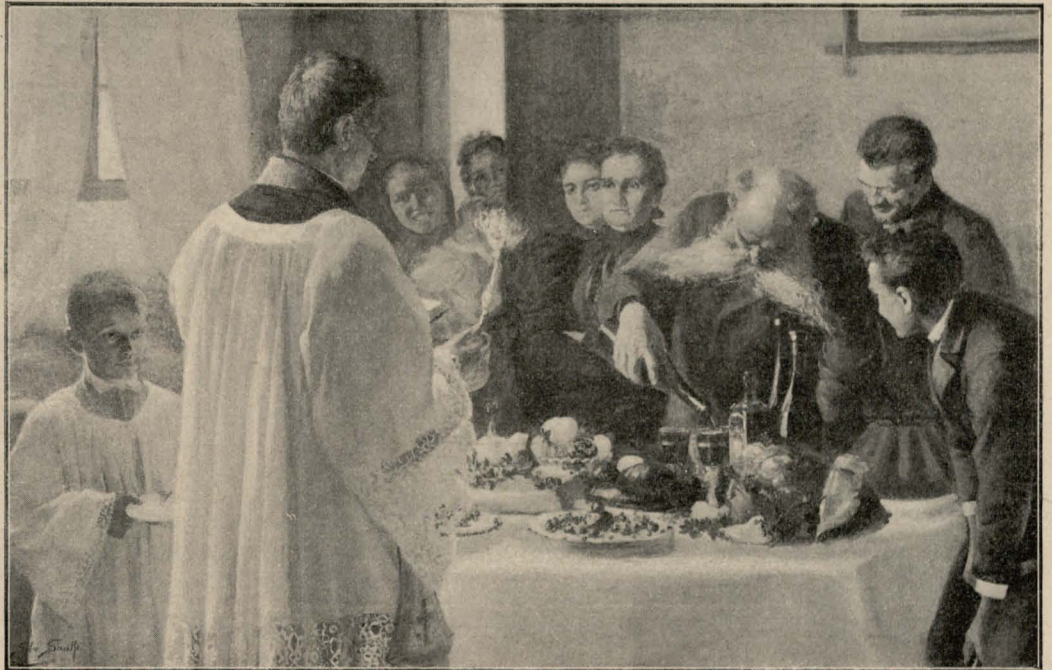
W pociągach luksusowych nie należało do rzadkości w ostatnich czasach, że na pluszowych kanapach pierwszej klasy rozsiadali się rezerwiści, robotnicy i włościanie, którzy, powołani do broni, śpieszyli na miejsce swego przeznaczenia, ściśle wedle przepisów najkrótszą drogą i najszybszym pociągiem. Przed białą kartą rezerwisty otwierały się wszystkie drzwi wszystkich przedziałów w najdroższych pociągach. Oni bowiem stanowili najszanowniejszy gatunek podróżnych.

Dodajmy do tej pieczołowitości o żołnierza bardzo łagodny sposób obchodzenia się przełożonych z powołanymi do broni, a zrozumiemy, że, przy poparciu czynników uświadomionych politycznie w każdym narodzie, mobilizacja austriacka musiała wypaść tak, jak wypadła, t. j. pod każdym względem świetnie.

Na szczęście dla pokoju Europy wielkie to uruchomienie sił bojowych austriackich pozostało narazie tylko generalną próbą sprężystości i sprawności militarnej trzynastoletniej monarchii, która, zmusiwszy połowę Europy do uznania jej żądań, wykazała, jak dalece bezzasadne są rozpowszechnione w niektórych społeczeństwach poglądy na jej słabość i blizkie, rzekomo, rozpadnięcie...

Kraków, w marcu.

CS.



ŚWIĘCONE

S. SASKI

ŚWIĘCONE.

Z CYKLU: „WIEŚ”.

Jeszcze w wielki poniedziałek, wtorek, środę, choć się już babskie rządy zaczęły, ujdzie, ale w wielki czwartek to uciekaj, chłopie, za dziesiątą górę!

W wielki czwartek we dworze
Ruch od rana, kiej taniec!
Na piechotę i konno
Za posłańcem posłańcie!

Świtkiem Kuba poleciał, aż par szkapie szedł z nozdrzy (bo do ciasta zabrakło) kupić cukru i drożdży, potem Jagna skoczyła do gospodyń po jaja...

Potem wózkem do miasta wyprawili lokaja, sama pani do sklepu napisała mu kartkę... potem Janek do Mośka gnał cielecą wziąć ćwiartkę! Potem (pono psy zjadły) pchnęli Kaśkę po masło...

I tak prawie do zmierzchu, póki słońce nie zgaśło.

W wielki czwartek we dworze
Kto żyw, ładzi na święta!
Dziedzic mruży pod nosem,
A dziedziczka... kontenta!

Tłuką, wiercą, łomocą, aż oddaje w pokojach! Naznosili różności w faskach, garnkach i słojach... Pełno w kuchni, w „jadalnym”...

Zastawili dwór cały.

Tu się mąkę wygrzewa, tam siekają migdały, ówdzie dzieci zajęte przebieraniem rodzynek... Gospodyni ser wierci, kuchta chrzan trze do szynki...

Nigdzie krokiem nie stąpić. Tego nie rusz, nie tykaj! W Święta — babskie są rządy, lepiej z domu umykaj!

Lepiej z domu umykaj
Za dziesiątą, za bramę!
Niech tam baby
z „babami”
Radzą sobie już!.. same!

Wielkanoc!

Jak te stoły we „święczone”, jak rola w ruin, tak się myśl w zieleni wspomnień mai...

Wielkanoc! święto wiosny, święto zmarłych wstania...

Leć, myśli! leć! Po-przez zwały szarej zjawy

w złożoną otęcz dni minionych! Leć do wsi mojej, do dworku w lip robionie, do chat wieńca, do serc, bijących wiarą i nadzieją, śpiesz, nim sygnaturka na „Alleluja” zagędzi, nim pleban chlebuś powszedni pokropi! Śpiesz! na święczone, z ludźmi swoimi przekąsić, pogaworzyć, westchnąć!

Hej! od wsi aż światłość bije! aż pachnie.

Chałupa w chałupę na świeżo wybielona, przedsienie piaskiem wysypane, w oknach barwinek i mech zielony... Jak wieś długa, przed każdą chatą ktoś stoi i ku kościółowi, ku plebanii po drodze pogląda... Maćkowemu chłopakowi śnać pilno, bo aż na czubek wierzby wylazł i patrzy...

A z chat już i gospodynie z koszykami ładownymi ku dworowi idą. Taki zwyczaj, we dworze proboszcz święci wszystkim pospólnie, jak pospólny jest chleb i praca na roli dla wszystkich. Już i ganek, i sień założone plackami, babami, kołaczami. Są z serem, są puste, z lukrem i bez, są baby aż żółte od szafranu, są barwnym groszkiem posypane. I różnego mięsiwa w bród! W samym dworze trzech karmników bili... Dla siebie i służby.

Nie dziw, że temu i owemu pilno po wielkim poście dorwać się do wędzonej kiełbasy a szynki.

Już wszystko gotowe, nawet kropielnica z wodą święconą!

Nagle Maćków chłopiec zsunął się, jak kot, z wierzby i pędem biegnie a woła:

— Jedzie! jedzie!

Kto żyw, wybiega przed ganek. Dziedzic, dziedziczka, gospodynie poprawiają chust wzorzystych...

Zaturkotało. Jedzie... Odkrywają się głowy. „Niech będzie pochwalony” się rozlega, „na wielki wieków” rozbrzmiewa. Proboszcz podniósł kropidło...

Hej! dziwne święta. Bo nawet Boruch stary chyłkiem ku dworowi z macą śpieszy... A przecie...

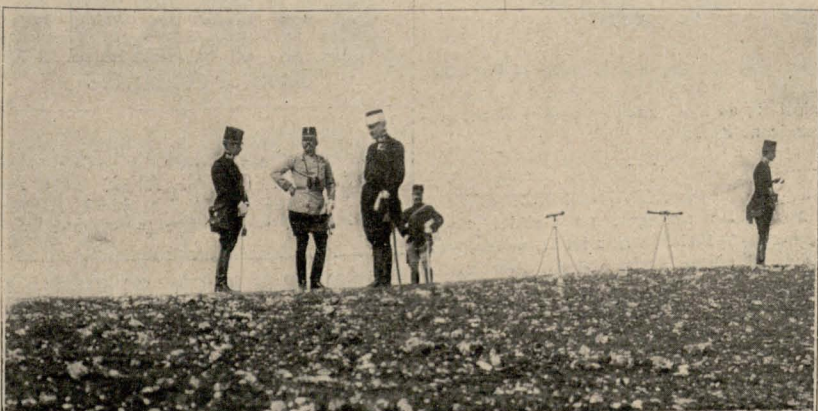
Dziwne święta. Jakies braterstwo wspólnych cierpień, wspólna nadzieją odkupienia owiane, jakies wspólne „Alleluja”, unoszące się nad tą ziemią w kwietniowej słońca poźłocie!

Przy wielkim stole przyrody, skropionym znojem i potem ludzkim, ziemia zastawia swoje „święczone” — wiosnę!

KAZIMIERZ LASKOWSKI.

*Wszystkim naszym przyjaciołom,
czytelnikom i współpracownikom za-
syiamy serdeczne życzenie*

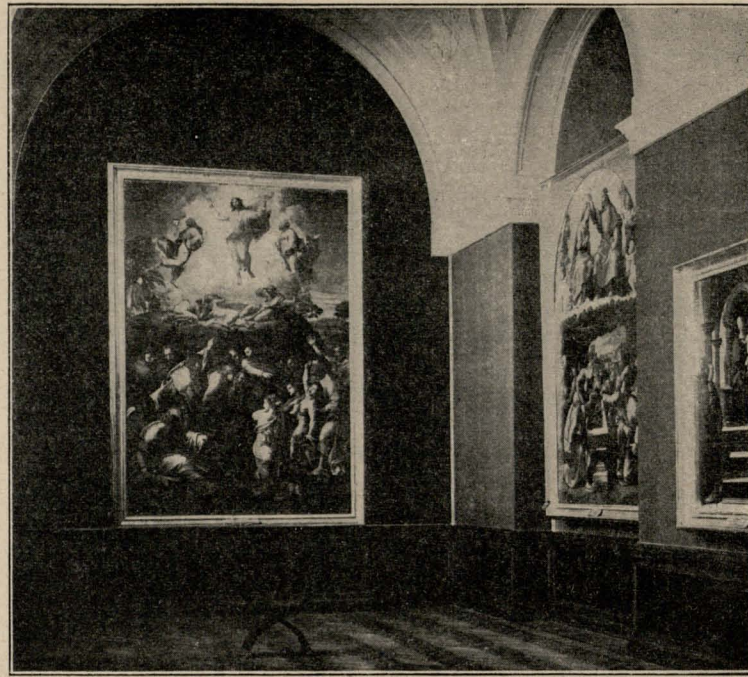
Wesołego Alleluja!



Oficerowie sztabu generalnego informują dowódcę



Otwarcie nowej galerii (pinakoteki) przez Piusa X w Watykanie, d. 28 marca.



Sala Rafaela Sanzia w nowej pinakotece watykańskiej

Nowa pinakoteka watykańska.

W rocznicę śmierci i urodzin Rafaela Sanzia, w d. 28 marca, otworzył Pius X uroczyste nową galerię obrazów, t. zw. pinakotekę w Watykanie, urządzoną w tej połaci pałacu Apostolskiego, gdzie dawniej mieściły się galowe powozy papieży, idące ku muzeum rzeźb.

Tym sposobem spełniło się życzenie miłośników sztuki, pragnących, aby dla arcydzieł pendzla, będących w posiadaniu Watykanu, dobrane zostało lepsze pomieszczenie i jednocześnie aby uczyniono dostępnymi dla szerszej publiczności setki innych obrazów drogocennych, które oddawano spoczywały bądź to w Bibliotece Watykanu, w szafach, lub też w apartamentach papieskich.

Na jednej z naszych fotografii widzimy grono dygnitarzy Watykanu z Piusem X i kardińcami, odfotografowanych w chwili uroczystego otwarcia, w sali, zwanej Rafaela, i pod jego obrazem „Przemienienie Pańskie”. Koło Papieża, po prawej ręce, stoi profesor Piotr d'Achiardi, który zajmował się urządzeniem obrazów i wydobyl ich część bądź to z magazynów kuryi, bądź z pokoiów, zajętych przez Ojca Świętego. Dość powiedzieć, że dotychczasowa galeria obrazów miała ich tylko 56, obecnie zaś w siedmiu salach mieści się ich 267, aby mieć wyobrażenie o różnicy między dawną galerią a nową i o korzyściach, jakie stąd płyną dla wszystkich, którzy się sztuką interesują.

Galeria obrazów, którą znali zwiedzający Rzym, nie miała więcej nad sto lat życia. Rozpoczął zbiór Pius VII, kiedy, z porady słynnego rzeźbiarza Canowy i kardińca sekretarza stanu Consalviego, zgromadził w salach Borgiów obrazy, zrabowane przez Francuzów po kościołach i zwrócone mu w r. 1815. Wreszcie, w r. 1857 urządzone zostały cztery sale niezbyt wytworne, z światłem nie dość odpowiednim, gdzie zawieszono, nieco chaotycznie, kilkadziesiąt obrazów, same wprawdzie arcydzieła. Przytem w Lateranie istniał drugi zbiór obrazów, z którego dzisiaj przeniesiono co cenniejsze do zbioru watykańskiego.

W dzisiejszej pinakotece światło jest wyborne. Ściany sal powleczone zielonawym jedwabiem, na którym to tle, łagodnym i wytwornym, doskonale odcinają się starożytne płótna i deski.

Z ogromnych skarbów, jakie Watykan posiada, zwłaszcza w Muzeum Biblioteki, dałyby się jeszcze utworzyć inne galerie: miniatur, kodeksów, i to podobno zamierzone jest na przyszłość. Za to, co teraz urządzono, świat naukowy może być tylko wdzięcznym Piusowi X.

Statuendam ordinandam curavit

Suavi Principatus anno VI

mówi napis, położony w galerii, obok popiersia dzisiejszego Papieża. D.

Pomnik Mickiewicza w Paryżu.

Piękna myśl wzniesienia pomnika wieszczowi naszemu w stolicy Francji, gdzie 20 lat swego życia przepędził, gdzie grzmiała jego słowa natchnione z katedry Kolegium francuskiego, zdaje się być coraz bliższą urzeczywistnienia.

Oto zawiązał się już komitet honorowy w Paryżu, oraz komitet wykonawczy, z prof. Sorbony, Ernestem Denisem, jako przewodniczącym, Mau-

rycem Muretem i Aleksandrem Schurrem, jako zastępcami przewodniczącego, dr. Wiktoorem Nicaise'em, skarbnikiem, oraz znanym już naszym czytelnikom Maryuszem Ary Leblondem, sekretarzem, na czele, który wydał płomienną odezwę, powołującą do zbierania składek na pomnik dla tego, kto był jednocześnie „jednym z najznamienitszych synów Polski, jednym z największych poetów w całej ludzkości, oraz jednym z najzarliwszych apostołów ideałów nowoczesnych”. Trzeba wnieść pomnik w Paryżu temu, kto był jego gościem—głosi dalej odezwa—by stwierdzić „obok wierności, jaką dochowuje Francja swym ideałom i tradycjom, całą moc jej niezmienniej przyjaźni dla Polaków, tego narodu bohaterskiego i szlachetnego, który poświęcił się nieustannie dla cywilizacji europejskiej i wylewał swą krew bez miary w szeregach walecznych pod naszymi sztandarami”.

Ofiary na pomnik przyjmuje redakcja *Mercur de France* (26, rue de Congé), oraz skarbnik, dr. W. Nicaise (3, rue Mollien). Wykonania modelu podjął się artysta-rzeźbiarz, p. Antoni Emil Bourdelle.

O szczegóły, dotyczące Jakóba Jasińskiego.

Opracowując studium historyczne, jakie nibawem wyjdzie z druku (w dwóch tomach, pod tytułem „Jakób Jasiński, generał wojsk polskich”), zwracam się na tej drodze z gorącą prośbą do osób, któreby posiadały jakieś wiadomości, przyczyniające się do oświetlenia pięknej postaci obrońcy i bohatera, o łaskawe nadsyłanie ich pod moim adresem: Kraków, ulica Smoleńska Nr. 27.

Stanisław Jasiński.

Na zagrożonej placówce.

U szarych wód Bałtyku—Białego morza, Wendyckiego niegdyś, a więc Słowiańskiego wód zbiornika—coraz mniej już śladów przedwiecznych siedzib słowiańskich i polskich. Kolacze się tylko duch w lichej garstce rybaków kaszubskich, u Wisły ujścia, pod Puckiem, na półwyspie Helu, nad jeziorem Lebskim i Gardzieńskim. Fala Niemczyzny zalewa nieszczęsne resztki męznego niegdyś plemienia Pomorców.

Nie powinniśmy zapominać o tych naszych braciach nadbałtyckich, przeciwnie, wszystkie siły kulturalne wytyżyć, by ocalić ich od ostatniej zagłady.

Z wielką też radością powitaliśmy ukazanie się pierwszych numerów nowego miesięcznika, specjalnie poświęconego sprawom kaszubskim, p. t. *Gryf*. Redagowane w Kościerzynie w Prusach wschodnich, tłoczone czcionkami gdańskimi, czasopismo to postawiło sobie cel podwójny: zapoznanie szerokich warstw czytelnicych w Polsce z folklorem kaszubskim (baśnie, podania, pieśni, obyczaje, zabobony, budownictwo, zdobnictwo i t. p.), z drugiej zaś strony—bacne czuwanie na tej strażnicy polskości, aby żaden fortel odwiecznego wroga nie uszedł naszej uwagi.

„System germanizacyjny, wynaradawiający — pisze redakcja w artykule wstępnym N-ru 1, p. t. „Nasz program” — ma na Kaszubach, wobec odmiennych od innych okolic warunków, swoje odrębne środki, którymi dąży do swego celu. Będziemy się starali oświetlać ślady hakaty-

zmu u nas, posuwającego się bądź to z krzykiem wielkim, bądź to cichaczem, ażeby nie zaskoczył nas nie przysposobionych.”

Szczęść, Boże, w zacnym przedsięwzięciu!

Pokłosie wydawnicze.

Cyprian Norwid. O Juliuszu Słowackim, w sześciu publicznych posiedzeniach, z dodatkiem rozbioru „Balladyny” i portretem autora, wydawnictwo *Sfinks*a. Warszawa, 1909.

Od chwili, gdy Miriam „odkrył” Norwida, zaczynamy coraz lepiej poznawać tego „zapomnianego” poetę: ukazują się nowe wydania utworów dawnych, jak również i nowe, w rękopisach tylko zachowane dzieła. Jeszcze syntezy brak, ale przybywają coraz to nowe rysy. Jednym z tych rysów, i to bardzo ciekawym, jest twórczość Norwida, jako krytyka. Zapisał się on w niej, jako autor kilku odczytów o Słowackim, których pamięć wznowiła obecnie, po 47 latach, redakcja *Sfinks*a. I przekonujemy się, że Norwid należał do najpierwszych, którzy poznali piękno pieśni „Króla-Ducha”, i stwierdzamy jego umysł niepospolity i wrażliwość artystyczną. Uzupełnia książkę rozbiór „Balladyny”, w liście do przyjaciela, M. S. Służnie uczyniła redakcja *Sfinks*a, ukazując na światło dzienne to, co pokryte było prochem zapomnienia.

ZMARLI.

IGNACY MORGULFC, budowniczy, zmarł w Rydze, w wieku lat 51. Urodzony w Białouszkach gub. kijowskiej, po ukończeniu szkół i poli-



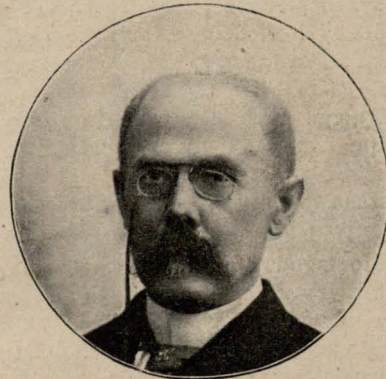
techniki w Rydze, pracował, jako budowniczy, w Odessie, w Petersburgu, w Kijowie, wreszcie przeniósł się do Rygi, gdzie prowadził własne biuro techniczno-handlowe.

MARYA Z PRZANOWSKICH PRZESMYCKA. Dnia 23 zeszłego miesiąca, po ciężkiej chorobie, zakończyła życie w wieku lat 77, matka poety Miriama, Marya z Przanowskich Przesmycka. Zmarła, córka majora wojsk polskich, właściciela dóbr Przytoczno, Wojciecha Przanowskiego, i Maryi z Wesslów, a wdowa po inżynierze, ś. p. Tomaszu Przesmyckim, była jedną z najzaciejszych i niepospolitych niewiast polskich. Obok wielkich zalet umysłu i serca, cechowała ją cicha, nie szukająca rozgłosu, a ogarniająca nader wielu istotnie potrzebujących dobroczynność.

Śmierć ś. p. Maryi Przesmyckiej okryła żałobą czterech synów, trzy synowe, wnuczkę, oraz liczną rodzinę, zarówno jej własną, jak i ze strony ś. p. męża. Zwłoki odprowadził na cmentarz powązkowski do rodzinnego grobu Przesmyckich liczny orszak krewnych, przyjaciół i życzliwych.

Koledze naszemu, Zenonowi Przesmyckiemu, oraz szanownej jego małżonce, przełożonej zakładu naukowego, p. Anieli Hoene-Przesmyckiej, przesyłamy wyrazy współczucia.

JAN ALBRYCHT, inżynier, zmarł w Puławach w wieku lat 64. Był on jednym z nielicznych już wychowawców instytutu politechnicznego puławskiego, zamkniętego w r. 1863. Czynny i ruchliwy, pełen inicjatywy, zorganizował pierwszorzędne krajowe fabryki cementu w Lublinie i w Kielcach i usiłował zawsze wyzyskiwać przyrodzone bogactwa kraju. Dzielnym przemysłowcem, był również i dobrym obywatelom kraju, zawsze gotowym do służby publicznej. O miłości i uznaniu, jakie zdo-



był sobie wśród najbliższego otoczenia, świadczyły te tłumy, które odprowadziły zwłoki jego na miejsce wiecznego spoczynku w Puławach.

REKLAMY

MEBLE STYLowe Maksymilian KALMUS
Marszałkowska 141, Tel. 28-87. Firma egz. od r. 1884.

Składy na Meble
„SYRENA”
Krak. Przedm. 38

Niniejszem podajemy do publicznej wiadomości, że WODY MINERALNE SZTUCZNE wyrobu WARSZ. TOW. AKC. „MOTOR” ZAOPATRZONE ZOSTAŁY W NOWE ETYKIETY, zatwierdzone przez Ministerium Przemysłu i Handlu. Zarząd

LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2.
„ENGLISH CHOthing HOUSE”.

SIWUCHE POLECA DYSTYLARNIA PAROWA F. JANKOWSKIEGO

BOLESŁAW MIKULSKI.

OKULTYZM.

Co to jest okultyzm?

Dla przeciętnego czytelnika to czarnoksiężstwo, wywoływanie dyabłów i duchów; dla duchowieństwa słowo „occultum”, t. zw. „ukryte”, ma świadczyć o „ciemnych praktykach, mających na celu odrodzenie tajemnic poganizmu”.

Oba te określenia są z gruntu fałszywe.

W najszerszym pojęciu okultyzm oznacza to wszystko, co jest dla ogółu nieznaną; dla prostaka zatem fizyka, chemia, astronomia będą okultyzmem. Właściwie jednak okultyzmem oznacza badanie zjawisk, które nie mogą być bezpośrednio ujęte przez nasze zmysły fizyczne, a w szczególności—istotę tychże zjawisk w kierunku najogólniejszej syntezy.

Celem okultyzmu jest rozwiązanie zarazem pozytywne i mistyczne *właściwych* duchowi ludzkiemu wielkich zagadnień: Bóg, Dobro i Zło, Świat Widzialny i Nie-widzialny, Dusza Ludzka, Przeznaczenie.



Hrabia de Cagliostro.

Historia świadczy, że najwięksi myśliciele starożytności, jakich wydał nasz Zachód, czerpali swą wiedzę w tajemnych uczelniach Egiptu. Wiedza ta drogą tradycji ustnej lub za pomocą licznych dokumentów sztuki i piśmiennictwa przewija się pod różnymi postaciami przez wszystkie epoki naszej cywilizacji, od zarania dziejów aż do chwili bieżącej, z różnym napięciem i pod rozmaitemi nazwami: Wiedzy Tajemnej, Hermetyzmu, Magii, Okultyzmu, Ezoteryzmu i t. p.

Zawsze i wszędzie jednolita w swych zasadach wiedza tajemna magów nosi dziś przeważnie miano *Okultyzmu*.

Z ogromnego dziedzictwa teorii i praktyk, dotyczących niezliczonych zjawisk, zaledwie drobna część wchodzi w zakres dzisiejszego hipnotyzmu, magnetyzmu i spirytyzmu. Te praktyki, należące do dziedziny *Psychurgii*, stanowią, jak powiedzieliśmy, zaledwie cząstkę Wiedzy tajemnej, zawierającej jeszcze trzy wielkie działy: *Teurgii*, *Magii* i *Alchemii*.

Ze względu na szczupłość ram niniejszego artykułu, postaramy się choć w najogólniejszych i najtreściwszych zarysach określić podstawowe zasady okultyzmu. Przedewszystkiem: *nadprzyrodzoność i wypadek nie istnieją*; najdrobniejsze zjawisko jest przejawem prawa; cud zatem w zwykłym tego słowa znaczeniu nie istnieje, tak jak nie może być skutku bez przyczyny, są tylko zjawiska, których przyczyn dociec nie umiemy.

Metodą podstawową okultyzmu jest analogia, pośrednicząca między dedukcją i indukcją i na tychże metodach opierająca się (błędy wielu początkujących okultystów polegają na utożsamianiu analogii z równoznacznością, przed czym przestrzega już Hermes Trismegistos). Przy pomocy analogii okultysta określa stosunki, zachodzące między zjawiskami.

Metodą podstawową okultyzmu jest analogia, pośrednicząca między dedukcją i indukcją i na tychże metodach opierająca się (błędy wielu początkujących okultystów polegają na utożsamianiu analogii z równoznacznością, przed czym przestrzega już Hermes Trismegistos). Przy pomocy analogii okultysta określa stosunki, zachodzące między zjawiskami.

Prawo Trój-Jedności panuje nad wszystkim, odbijając się w trzech światach, składających Wszechświat: *świat boski*, czyli zasad, *świat astralny*, czyli sił i praw, i *świat zmysłowy* (fi-

zyczny), czyli zjawisk, urzeczywistnień praw w ich rozmaitych kombinacjach. To samo prawo (Trójca w wielkich religiach) stosuje się do człowieka (mikrokosmos), zredukowanej odbitki Wszechświata (makrokosmos).

Prawo seryi może być sformułowane, jako dwa przeciwieństwa, zrównoważone pochodzącym od nich pośrednikiem. Zatem: światło—cień—półcień; dodatni—ujemny—bierny; przyciąganie—odpychanie—równowaga; kwas—zasada—sól; ojciec—matka—dziecko: Bóg Ojciec—Syn Boży—Duch Święty. Ludwik Lucas zastosował to prawo do wszystkich niemal zjawisk chemii, fizyki, a nawet biologii.

Prawo involucji i ewolucji może być wyrażone w sposób następujący: zasada czynna, wyrażona w jedności, przeciwstawia się zasadzie bierniej, przyciągającej ją swym nieskończonym zróżniczkowaniem; ta pochłania tamtą i rozdrabnia się stopniowo, ożywiając każdy atom. To pierwsza faza procesu życiowego: *inwolucja*. Po niej następuje stan zamętu, chaosu, w którym każdy ożywiony atom ściera się z sąsiednimi. Duch polaryzuje się w materii, która ewoluuje stopniowo przez różne światy (byty) i, uduchawiając się powoli, zdąża ku pierwotnej jedności. Na tem polega *ewolucja*, metafizyczne określenie upadku i odrodzenia człowieka.

Inne prawo, niemniej ważne, zwane jest *prawem odpowiedników* (korespondencji), szczegółowo opracowanym przez Swedenborga. Z tem prawem ściśle łączy się *prawo znamion* (signatura), oparte na wpływie ducha na materię, duszy na ciało.

Można je sformułować w ten sposób: każda istota żyjąca zdradza swój charakter za pomocą specjalnych znaków, które mogą być spostrzeżone i ocenione dzięki zdolnościom intuicyjnym, wykształconym przez praktykę i obserwację. To prawo jest podstawą sztuki wróżbiarskiej.

Wreszcie *prawo symbolów*: człowiek, aby działać na zewnątrz, musi posiłkować się znakiem, analogicznie odpowiadającym jego woli.

„Znak, symbol, mówi Eliphas Levi (*„La clef des grands Mystères”*) wyraża rzecz; rzecz jest cechą znaku. Między znakiem a rzeczą oznaczoną zachodzi stosunek analogiczny. Im znak jest doskonalszy, tem stosunek jest zupełniejszy”.

To—podstawa potęgi słowa ludzkiego, wyrażonej w modlitwie, błogosławieństwie, przekleństwie i zaklinaniu. To—zasadnicze prawo *Magii*.



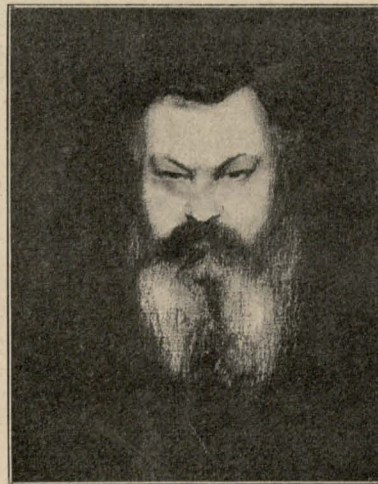
Pieczęć Eliasza Levi i kabalistów.

u kabalistów hebrajskich (nefesz-ruach-neszama-mach), *linga sharira* u buddystów, *kaleb* u Persów, *anima* u św. Pawła i św. Tomasza (corpus-anima-spiritus), *vestrum* u Paracelsa (XVI w). Pracem Elifasa Levi, Crookes'a, Alberta de Rochas, Baraduc'a, Zoellnera, Narkiewicza - Jodko, Aksakowa W. Durville'a, z najnowszych czasów, zawdzięcza okultyzm doświadczalną, naukowe stwierdzenie właściwości tego „sobowtóra fluidycznego”, który przy odpowiednich warunkach (głęboka hipnoza, ekstaza mistyczna, agonია) jest w stanie wydzielić się z ciała i ujawniać się na zewnątrz tegoż w sposób widzialny.

Temu czynnikowi u człowieka odpowiada we Wszechświecie pojęcie świata, czyli *planu astralnego*, jako planu przetwarzania energii potencjal-

nej, planu zasad (boskiego) na energię czynną, celem urzeczywistnienia ruchu w planie zmysłowym (fizycznym), plan astralny gra tu rolę pośrednika, formy, negatywu między pierwowzorem planu boskiego a pozytywem fizycznego. Każde zapoczątkowanie planu zasad znajduje w nim natychmiastowe odbicie, zanim zostanie urzeczywistnione w planie fizycznym. Jednocześnie każdy czyn (a więc i myśl, która dla okultystów jest prawie równoznaczna z czynem), każdy wypadek, zaszły w planie fizycznym, zostaje natychmiast odbity w planie astralnym, gdzie trwa mniej lub więcej długo pod postacią obrazów i larw astralnych. Tą teorią tłumaczy okultyści „jasnowidzenie” w czasie i przestrzeni, oraz przepowiednie i prorocstwa.

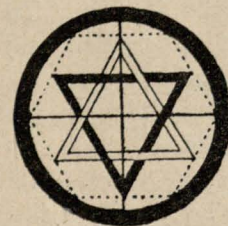
Plan astralny, podobnie jak plan fizyczny, posiada swych mieszkańców. Okultysta Guymiot pisze: „Świat astralny jest również urozmaicony, jak i świat fizyczny: na podobieństwo tego ostatniego zaludniony jest przez istoty, mające własne warunki bytu”. A więc przebywają tam istoty kierownicze (wyższe duchy ludzkie, wyzwolone); istoty, powołane z planu boskiego (aniołowie i geniusze), dalej—egregory (istoty zbiorowe, ukształtowane przez różne religie, ludy i instytucje, przeważnie walczące między sobą); ciała astralne istot, zmarłych w planie fizycznym, i zdążające ku wyższym stanom ewolucji, lub też zstępujące ku ponownym wcieleniom w tymże planie; wreszcie istoty niższego rzędu, ożywiająca całą przyrodę, *żywiolaki* (elementale), a więc gnomy, sylfy, ondy, salamandry, w pewnych warunkach uległe woli ludzkiej i stanowiące materiał magii białej i czarnej (zależnie od intencji operatora).



Doktor Papus.

Oto w najogólniejszych zarysach podstawy okultyzmu. W związku z pojęciem o nieśmiertelności duszy indywidualnej, o faktycznej odpowiedzialności tejże w jednej inkarnacji za czyny popełnione w poprzedniej (prawo *karmy*, jako transcendentalnego dziedzictwa nawyków i skłonności), o Przeznaczeniu, zrównoważonym przez Wolę w związku z Opatrznością, okultyzm stanowi całkowity światopogląd o niezwykle podniosłej wartości etycznej.

Szczupłość niniejszego szkicu nie pozwala na wyprowadzenie szczegółowego filozoficznego rodowodu okultyzmu. Początki jego giną w pomroce dziejów. Wyraźniejsze jego ślady znajdujemy w „ezoteryzmie” szkoły aleksandryjskiej, której pod postacią „Gnozy” wspiera rodzący się chrystyanizm. Zwycięstwo polityczne tego ostatniego przynosi przesładowanie gnostyków, którzy



Pieczęć Salomona używana przez Martynistów.

tworzą tajemne stowarzyszenia, przechowujące tradycje okultyzmu. Takim jest początek różnych tajemniczych związków hermetystów, rycerzy wtajemniczonych, zakonu św. Jana, wreszcie templariuszów, którzy swój plan zjednoczenia i zbratania ludów we wspólnym kościele przypłacili stołem w 1312 roku. Ci, którzy uszli kłeski, dali początek Stowarzyszeniu Róży-Krzyża, od którego wywodzi się Wolno-Mularstwo.

(DN)



Siedział cichutko młody lis na zadnich łapach.

KONSTANTY GORSKI

JÓZEF WEYSSENHOFF:

UNIA

POWIEŚĆ LITEWSKA.

14)

Zastrzeżę się prawo przedruku.

Kazimierz rozciągnął się na wrzosie, nieco poniżej—i bez wahania, szczerze spojrział na Krystynę:

— Drugi już raz posądza mnie pani o jakąś przebiegłość, do której się nie uczuwam.

— Więc dobrze, mówić będę, jakbym wiedziała, że pan jest taki, jakim mi się wydaje.

— Ja tak samo będę odpowiadał. Jest to jedyny sposób poznania się.

— Wiem. Nie lubię nawet rozmawiać inaczej.

— To proszę mówić!—zawołał Kazimierz.—Widzę ze wstępu, z wahania, że pani jest trochę nieufna.

— Ludzie mnie tego nauczyli, ludzie z Rarogów. I właśnie szukam innych... Tu potrzebni są tacy, jaki był naprzykład mój ojciec, Władysław Sołomerecki.

— Słyszałem o ojcu pani. Słynął, jako dobry Polak i silny pracownik.

— Słyszał pan zapewne za mało. Ale nie będę mówiła o nim, bo to już tylko cień.—Na dzisiaj żeby ludzie tacy się znaleźli!

Kazimierz potakiwał, lecz nieco platonicznie, gdyż, będąc z dalekiego kraju, mało rzeczywiście wiedział o Władysławie Sołomereckim.

— Rodziców dawno już pani straciła?
— Matki prawie nie pamiętam. Ojciec mój umarł temu lat dziesięć.—Ale ta moja biografia może nudzi pana?

— Jak pani może przypuszczać?! Właśnie proszę mi mówić o sobie. To mnie serdecznie zajmuje.

Przycisnął dłoń do piersi naturalnie i przekonywająco.

— Więc jeszcze trochę. Ojciec w testamencie oddał mnie pod opiekę pana Eustachego Chmary.

— Ach, to była wola ojca pani?

— Tak. Pan Chmara uchodził już wówczas za najznacniejszego obywatela tutaj i... był trochę inny. Gdym zaledwie dorosła, pan Chmara wydał mnie za swego przyrodniego brata, dużo młodszego, Karola. Wtedy skończyło się moje dobre życie, a właściwie—już od śmierci ojca.

Znowu rozmowa brnęła w nieszczęście, i Kazimierz nie śmiał dalej pytać. Schwycił pamięcią kilka faktów jasnych, kilka rysów dobrych, reszta pozostawała zagadką tem ciekawszą.

I mówili tak żałośnie, a przecież w zakątku świata, gdzie ludzie samotni musieli marzyć, a młodzi, we dwoje będąc, musieli się kochać. Las, choć ogromny i głuchy, nie miał w sobie nic przerażającego. Tęsk-

nił, przeglądając się w wodzie, uśmiechał się świeżą smugą zieleni wzdłuż wąwozu; a chata leśnika siedziała w wesołym ogródku z warzyw i kwiatów.

Widząc, że Krystyna utkwiała wzrok w jedno miejsce za jeziorem, a nie rozgląda się, tak jak on, po liniach i szczegółach krajobrazu, Kazimierz pomyślał, że ona musi to miejsce już znać za dobrze i nie widzieć jego piękności.

Odezwał się:

— Ja nie miałem pojęcia, że tu wszędzie tak ślicznie. To jest za mało sławne, tego ludzie nie dość wiedzą. Pani już przywykła, ale nowy człowiek jest zupełnie przejęty, gdy tu przyjeżdża.

Krystyna uradowała się:

— Polubić pan może nasz kraj?

— Co to polubić! Pokochać! Jak na górze Tabor, chce się zawołać: zbudujmy sobie tutaj przybytek!

Spostrzegł Kazimierz, że się zapędził w wymowie; ale Krystyna patrzyła na niego ze spokojnem zadowoleniem, nie czepiając się słów, wdzięczna za intencję. Wkrótce jednak zadumała się i westchnęła smutno:

— Ach! tak, panie...

Kazimierz, sądząc, że Krystyna powraca do żałosnych wspomnień, rzekł głosem wzruszonym:

— Czy pani nie zanadto zatapia się w smutku przeszłości?—Przecie, jeżeli przed kim, to przed panią życie na rozcież otwarte. A ze wszystkiego, co słyszę, wygląda mi pani na... Trudno jednym słowem powiedzieć, na co pani wygląda...

— No na co? na co?—Tylko nie na boginią, świteziankę, albo coś takiego.

— Właśnie, że mi to nawet przez głowę nie przeszło. To już zapewne tysiąc ludzi pani powtórzyło?

— Nie myli się pan.

— O dniu nie trzeba mówić, że słońce świeci.

— O! źle, panie. Myślałam, że usłyszę coś nowego.

— Co innego w każdym razie. Chciałem powiedzieć, że pani wygląda także na... dzielnego człowieka.

— To dobrze. To przyjmuję.

Wyciągnęła do niego rękę. Kazimierz odkrył głowę i rękę uściśnął. Nie podniósł jej do ust, choć była tak blisko ta drobna, szczerza i bardzo miła ręka. Im bardziej była w jego mocy Krystyna w tej samotności leśnej, tem ściślej czuł się obowiązany do rycerskiej powściągliwości.

— Przyjmuję tę pochwałę—powtórzyła Krystyna.—Ale cóż kobieta? Potrzeba dzielnych mężczyzn, aby Litwę ratować.

— Ratować?—od czego?

— Od złej polityki. Nam potrzeba wzmocnienia unii z Koroną—rzekła Krystyna ze stanowczą powagą.

Kazimierz rozpromienił oblicze:

— W kilku słowach powiedziała pani to, co mi rośnie w głowie od czasu mego przyjazdu, zwłaszcza do Rarogów.

— Najwyraźniej poczuł pan to w Rarogach?

— Oczywiście! Jestem szczerzy, jak pani ze mną.

— A! to jest pan moim... to się zgadzamy wybornie!—zawołała z nietajoną radością.—Ja tu wytrzymać nie mogę, duszę się, jak w więzieniu! To właśnie chciałam powiedzieć panu odrazu.

— Nie mogłem usłyszeć nic bardziej trafiającego mi do serca i do przekonania.

Jakby olśniony przez nową, kapitalną piękność w osobie Krystyny, patrzył na nią Kazimierz z gorącym współczuciem.

— Teraz rozumiem odrazu wiele rzeczy. Jest pani w ciągłej rozterce moralnej z całym szeregiem mieszkańców Rarogów i okolicy?

— Naturalnie. I całe moje życie od śmierci ojca zabrnęło między takich ludzi. Mieszkałam przez czas pewien i u Zasławskich.

Kazimierz budował pośpiesznie, ale składowanie historię Krystyny. Zapalał się coraz bardziej do tego przedmiotu, więc badał dalej:

— Nie mogła pani mieszkać u siebie, rozumiem, bo brat sprzedał ten... Taborów. Ale prawda! kiedyż to on sprzedał?

— Zawsze, panie, o parę lat wcześniej; wtedy, kiedy jeszcze nie było wolno... Odtąd przestałam się z nim znać.

Zaczerwieniła się, jak wiśnia, co spostrzegłszy, Kazimierz odwrócił oczy, choć

miałby chęć wyrazić jej najgorętsze uznanie za ten wstyd kochany. Rzekł ze sztucznym spokojem, w którym drżało jednak wzruszenie:

— Ale pani nie dała sprzedać swojej Auszry.

— Jest dużo większa, niż moja część. Córki tu biorą czternastą część spadku.

— Prawda! zapomniałem.

— Więc na tych drzewach, pod którymi siedzimy, na jezioru, na chacie, na każdym tu krzaczku są długi. Mówią mi nawet, że Auszra już prawie nie należy do mnie. Ja tego nie rozumiem.

— To trzebaby porachować, sprawdzić—rzekł Kazimierz, uderzając dłonią po ziemi, o której była mowa.

— Ten, któryby to uczynił, musiałby kontrolować czynności najpotężniejszego mego opiekuna—rzekła Krystyna z zaciętą ironią.

— To jest: pana Eustachego Chmary?

— Jego samego. Nie wiem, czy ktoby się ośmielił?

— Znaleźliby się i tacy—odrzekł Rokszycki, podnosząc głowę wyzywająco.

— To byłoby u nas... nadprzyrodzone.

— No, znowu tak bardzo...

Urwała się rozmowa, dochodząc do miejsca, gdzie już wymagała technicznych porozumień. Bądź co bądź, ludzie, tu rozmawiający, gadali trochę, jak dzieci, zbuntowane przeciwko nienawistnej władzy starszych. Tylko, że w wielu wypadkach dzieci miewają natchnienia, które stają się później zaszczytem mężów.

— Gdzie my to zaszliśmy w rozmowie! Pieniądze to brudna rzecz—wzdrygnęła się Krystyna.

— Neutralna, proszę pani; zależna od rąk, które ją posiadają. Pieniądze są dobrym przewodnikiem charakteru swoich właścicieli. W pani ręku byłyby z pewnością czyste i gorące.

— Bardzo ładnie pan powiedział, ale nie mówmy już o nich, proszę. To są sprawy prywatne—i jakoś się ułożą. Gorzej dzieje się tutaj w sprawach publicznych.

— Niejakie wyobrażenie mam o tem, choćby z obrad wczorajszych.

— Ja na takie zebrania wcale nie przychodzę, jak pan widział—mówiła, zapalając się, Krystyna.—Ja tego nie widziałam do piętnastego roku życia. Mój ojciec nie dopuszczał wcale takich ludzi do siebie.

— Mówi pani o mundurach?

— Nie cierpię mundurów, jednak nie o nich teraz myślałam. Nawet już rozumiem, że trzeba utrzymywać pewne urzędowe stosunki. Ale ci autonomiści prowincjonalni! ci Polacy, mówiący u siebie obcymi językami! Albo tacy, dobrzy niby ludzie, na których można krzyknąć: w prawo!—A cóż, musi w prawo... W lewo! Wszak można i w lewo... Wprawdzie nie ruszają się z miejsca, ale cóż to za obojętność narodowa i obywatelska!

Kazimierz porwał się z ziemi, przyczem naturalnie przykleknął przed Krystyną:

— Pozwoli mi pani ręce swe ucałować!... Tylko na znak najgłębszego uszanowania. Czy ja mogłem się domyśleć

wczoraj, że pod tym samym dachem, za paru ścianami, mieszka taka...

Nie dopowiedział, bojąc się stracić miarę wyrażań.

Krystyna podała mu wprawdzie obie ręce, ale sztywne, mierzące silnie oddalenie, i odpowiedziała spokojnie:

— Niema nic nadzwyczajnego w tem, co powiedziałam.

— Jednak—odrzekł Kazimierz, puszczać jej ręce i powracając na swe miejsce—nikt do mnie tutaj tak nie mówił. Przytem wyraża się pani ślicznie po polsku, z odmianą intonacji, ale jak Akademia Krakowska.

— Także prosty obowiązek i przyzwyczajenie, wyniesione z Taborowa. Mój ojciec doskonale się wyrażał, a nauczyciel mój, ksiądz Antoni, mówi, jak Skarga. Gdzie mi do nich! Szkoda, że pan nie może poznać księdza Antoniego Wyrwicza.

— A cóż się z nim stało?

— Zdziczał bardzo. Już nigdy tu nie przyjeżdża, bo mówi, że mu nie służy... powietrze w Rarogach.

— Pojmuję, że i pani w niem duszno. Trzeba na to znaleźć radę.

Zadumali się oboje, tymczasem nie nad radą, tylko nad sobą wzajemnie. Kazimierz przypomniał znowu różne lekkie sądy, zasłyszane o tej kobiecie, które, porównane z jego wrażeniem osobistym, przejmowały go podziwem i zgrozą. Czegoż od niej chcą ci ludzie? Aby była do nich podobna? Dzięki Bogu, że jest inna... Krystyna zaś, nie uprzedzona do Kazimierza przez żadne sądy cudze, odnajdywała w nim nie pomylone swe wrażenie pierwsze: cokolwiek rzekł, jak spojrział, jak się ruszył, był podobny do tego, którym ona chciała, aby był.

Długo siedzieli, milcząc, aż Krystyna wzdrygnęła się, jak przez sen:

— Czuję, że zaraz przyjdą tu ludzie...

Kazimierz, jak zamagnetyzowany, spojrział za siebie w las, czy już nie sprawdza się przecucie Krystyny. Spojrział, wpatrzył się, rozjaśnił twarz uśmiechem i przywołał cichym znakiem Krystynę, aby spojrziała w tym samym kierunku.

O jakie czterdzieści kroków od polany siedział cichutko młody lis na zadnich łapach, nadąsanym pyszczkiem mierząc prosto w Kazimierza i Krystynę, w głębokim namyśle, co to za jedni?

— Ach, jakie to ładne... przecie pan nie strzeli?

— Ani mi się śni.

Lisek wolał jednak oddalić się płynnym kłusem, nie wprost na widzów, tylko bokiem, oglądając się na nich pokilkakroć, uprzejmie i filuternie. Skierował się ku wąwozowi, złościł się wśród traw, jak szybka, gruba gąsienica, i przepadł w zaroślach.

Ale zaraz na tropie znalazła się groźna Piskla. Dała głos, zrazu stłumiony, złowiła się pewniej, zwołała rozpierchłą psiarnię—i poszedł znowu gon piekielny wzdłuż wąwozu, podwojony przez górskie echa.



Dzieciaki wyskoczyły w postaci koziołków.

GUSTAW DANIŁOWSKI:

Gołębie Świętego Dziecka.

Kiedy Jezus był jeszcze malutki i swemi smagłymi nóżkami w podkasanej koszulce uwiijał się po uliczkach Nazaretu, siła jego cudowna objawiała się w niezwykłych figlach.

Kiedyś naprzykład schwycił ze straganu suchą rybę, wrzucił w cysterne i kazał jej pływać, a ryba pluskała się, jak żywa, chwytając okruszyny, które jej sypała uszczęśliwiona gromadka towarzyszy jego dzieciństwa.

Gdy podczas zabawy urwał się sznurek, złamał kij lub stłukła skorupka, święte dziecko z poważną miną, bez kleju, za pomocą dotknięcia łączyło w całość popsute przedmioty.

Innym znowu razem podczas gry w chowanego małe berbecie, chcąc go zwieść, zamiast na dziedzińcu, jak było umówione, schroniły się w izbie, a wciągnięte do spisku matki, gdy Jezus spostrzegł kędzierzawą czuprynkę za piecem, zaczęły dowodzić, że to kozłeta...

— Kozłeta—odparł Jezus—to niech wychodzą do pasterza!

Jakoż ku zdumieniu wszystkich dzieciaki wyskoczyły w postaci koziołków z bródkami, różkami, całe kosmate i, merdając ogonkami, jęły się tulić do Chrystusa.

Chrystus je głaskał, potem tupnął bosą nóżką—i w momencie przemieniły się napowrót w dzieci, tylko z przerażenia stały dalej na czworakach i becząły na cały głos.

Chcąc je pocieszyć, Chrystus wolą swoją wprawił w ruch gliniane figurki, suszące się na przyźbie, i lalki maszerowały, ptaszki fruwały, a baranki pobiegły na trawę i pasły się, zupełnie jak prawdziwe.

Uszczęśliwieni malcy śmieli się do łez, ale swoją drogą z powodu tych czarów zaczęły trochę obawiać się Jezusa i stronić od niego, skutkiem czego często musiał się bawić sam.

Pomysłów mu nie brakło, tem bardziej, że wszystko udawało mu się znakomicie.

Gdy w obejściu swej chatki zakładał ogród, powtykane w piasek zerwane kwiaty i zioła, podlane jego rączką, nie więdły, ale rosły, rozwijały się i kwitły piękniej i dłużej, niż inne.

Skoro sklecił z deseczek ul, zaraz naza-

cieśli, wówczas robota szła niezwykle szybko i składnie, aż się Józef dziwował, nie wiedząc nic o tem, że dość było dziecku dotknąć deski ręką, by się wydłużała do żądanej miary, traciła sęki i stawała się gładka i piękna, jak tarcica cedru.

Gdy zaś w mydlinach matki Maryi umaczał słomkę, nie tylko wydymane jego ślicznym buziakiem bańki mieniły się wszystkimi kolorami tęczy, grały ogniami najdroższych kamieni, ale bielizna puszczała łatwo i wyjęta lśniła, aż bolały oczy.

Podczas słoty Jezus miał zwyczaj siadywać na progu i z rozmiękłego mułu wylepiać kwiaty, liście, zwierzęta, co mu na myśl przyszło.

Pewnego razu, gdy się tak bawił w sobotę i właśnie wyrobił misternie tuzin czubatych gołębi, spostrzegł to przechodzący faryzeusz i jał ostro gromić chłopca, że narusza sabbat, pracując w dzień święty.

Wystraszone dziecko surowością tonu, chcąc zwieść faryzeusza, machnęło rączką—i gołębie, rozwinawszy skrzydła, uniosły się do góry.

Faryzeusz, sądząc, że się omylił, poszedł dalej, szepcząc modlitwy, i nie zauważył, jak gołębie w locie z płowych przemieniają się w śnieżnobiałe i świecą niezwykle w błysku nagłego słońca, niby garść lilii, rzuconych w powietrze.

Istotnie, gołębie te, stworzone rączką niewinną i życiem natchnięte twogą dziecięcego serca, prócz tkliwości, właściwej tym ptakom, pozyskały nadnaturalną zmyślność i dar wieczystego trwania.

Splósenie tych gołębi było jakby ostatnią igraszką, ostatnią swawolą Chrystusowego dzieciństwa, w tej chwili bowiem począł po raz pierwszy się zastanawiać nad surowością zakonu, buntować się przeciw mściwemu, groźnemu Bogu Starego Testamentu, by stać się wkrótce prorokiem, głosicielem i męczennikiem Nowego—Miłości.

* * *

Białe te gołębie towarzyszyły swemu Twórcy stale, obsiadając, póki był w rodzinnem miasteczku, zapadły daszek domostwa ubogiego cieśli.

Gdy ruszył na wędrowkę po świecie, szybowały przed nim, niby jasne zwiastuny Jego ewangelii.

jutrz osiedlał się w nim mocny rój, a miód tych pszczoł był jasny, jak słońce, a słodki, jak serce małego ich gospodarza, który, bezpiecznie nurzając różowy paluszek w plastrze, namaszczał nim czerstwy chleb ubogim.

Łódki, robione z wiórów, których było na podwórzu pod dostatkiem, pływały mu i górę i w dół strumyka, podług życzenia małego żeglarza, a puszczane w powietrze, unosiły się lekko i zgrabnie, niby łutki, lub motyle.

Czasem z żartów pomagał staremu ojcu

Gdy umierał na krzyżu, zamiast kruków, dążących na żer, zjawily się one, otoczyły go wieńcem i drganiem skrzydeł chłodziły podarte cierniem i zwątpieniem czoło, nawiewając lepsze myśli umęczonej głowie.

Czuwały potem nad nim w jaskini grobu, i ich to rozpostarte skrzydła i wzburzone pióra wydały się wtrąconej w otchłań szaleństwa i rozpaczy Maryi Magdalenie jasnymi aniołami, co rzekły:

Niewiasto, czemu płaczesz?

Gdy w pięćdziesiąt dni potem zebrali się uczniowie, nagle, jak zawierucha, z wysokości nieba w prędkim szumie zleciały ku nim te same gołębie. Świecącymi skrzydłami, niby rozdwojonym płomieniem, musnął każdy głowę apostoła, a na widok tych wysłańców Chrystusa wstąpił w nich Duch Święty żarliwej wiary w posłannictwo swoje, któremu się oddali wszyscy jednomyślnie pospołu.

Dobre były: latały niezmordowanie po obszarach ziemi, rozrzewniając serca ludzkie, raz tylko na wiek zbierając się na wyniosłej skale, by zobaczyć się i pogadać.

Zbliżała się właśnie dziewiętnasta z kolei taka umówiona, nocna godzina, i ze wszech stron dążyły ścigłe ptaki ku śpiczastemu cyplowi samotnej turni, który sterczał, jak grot, celujący w sine łono nieba.

Okrażyły go parokrotnie i, wążąc się, jak płatki śniegu, spadły gromadnie. Mocno biły serca gołębie ze wzruszenia i pędu, paciorki oczu ich były zasnutte smutkiem mnóstwa rzeczy i zdarzeń widzianych, piersi znużone długim polotem.

Milcząc, prostowały wzdęte skrzydła i, gładząc sobie nawzajem zwichrzone na czubach pióra, spoczywały zdyszane na wirchu, dalekim od ziemi...

Cicho było niezwykle, i wieczysty gwar na dnie przepaści bojującego z piargami potoku wydawał się szumem odległej ulewy; chwiejba smreków i limb—szepcem, szamocząc się z mgłami w dolinach wicher—westchnieniem.

Konstelacje gwiazd wyglądały stąd bliższe i wspanialsze, niż płonące po halach ogniska juhasów.

(DN)



Gołębie uniosły się do góry.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

drukuje w roku bieżącym najnowszy świetny utwór

Józefa Weysenhoffa

powieść litewska z ilustracjami

Konstantego Gorskiego p. t. „UNIA”

Ilustrowane nowele: G. Daniłowskiego, Ign. Grabowskiego, Wł. Perzyńskiego, M. Rodziewiczówny, Stan. Ostrowskiego. Poezye najznakomitszych poetów, z antologii włoskiej przez M. Konopnicką, z antologii angielskiej przez A. Langego, z antologii francuskiej przez Br. Ostrowską, z antologii niemieckiej przez Cz. Jankowskiego.

Kroniki tygodniowe **BOLESŁAWA PRUSA**, poruszające najważniejsze zagadnienia chwili.

Przeglądy literackie prowadzi **Józef Weysenhoff**.

Sprawy społeczne i polityczne — **Wł. Rabski**.

Sztuki plastyczne—**A. Gawiński, T. Jaroszyński, H. Piątkowski**.

Przegląd historyczny — **H. Mościcki**.

Wieczory teatralne i muzyczne—**Cz. Jankowski**.

W każdym numerze felietony **Zd. Dębickiego**, „Ze świata” (polityka) **L. Włodka**, z cyklu „Wieś” obrazki **K. Laskowskiego**.

Obrazy galicyjskie przez **K. Srokowskiego**.

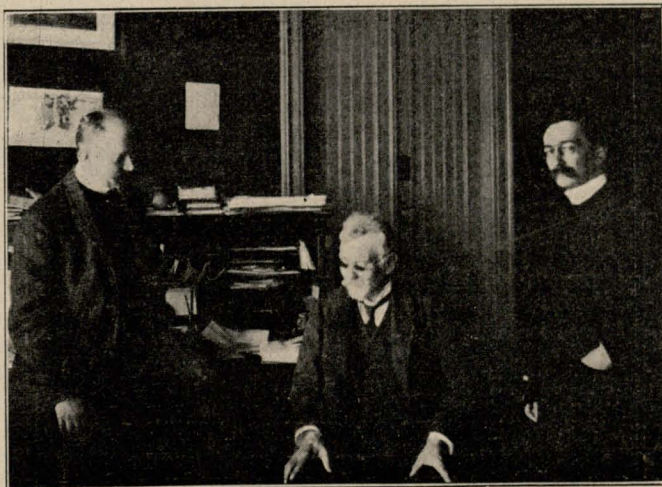
Profile literackie: sylwety najwybitniejszych pisarzy polskich współczesnych.

Każdy artykuł ilustrowany.

Numery specjalne.

Wielkie Premium Jubileuszowe

Dla upamiętnienia 500-letniej rocznicy wiekopomnej bitwy Grunwaldzkiej, „Tygodnik Ilustrowany” w swoim roku jubileuszowym postanowił ofiarować wszystkim swoim prenumeratorom **wspaniały podarek**, mianowicie: oprócz innych bezpłatnych premii, „Tygodnik Ilustrowany” wyda album **Wojciecha Kossaka**, składający się z kolorowych rycin, obrazujących tysiącletnią walkę drapieżnego żywiołu niemieckiego z Polską, walkę, której punktami wytycznymi były: **Psie Pole, Płowce, Grunwald, Hołdy Pruskie, Rugi, Ucisk szkolny, Wywłaszczenie**. Prasa podniosła już z wielkim uznaniem premium „Tygodnika”, zaznaczając, że



Dr Józef Wolff

GABINET REDAKTORA.

Bolesław Prus

Artur Oppman

to pierwsze uczczenie Grunwaldu wzbogaci nasz dorobek artystyczny i w sposób najgodniejszy upamiętni wielką chwilę przyszłości naszej.

Album Grunwaldzkie będzie

ZUPEŁNIE BEZPŁATNEM

premium „Tygodnika Ilustrowanego”.

DODATKI

NADZWYCZAJNE

Reprodukcyje barwne najświetniejszych obrazów współczesnych malarzy polskich. Reprodukcyje dwubarwne na oddzielnych kartonach, z których utworzy się z czasem galeria najnowszej sztuki polskiej.



Henryk Galle

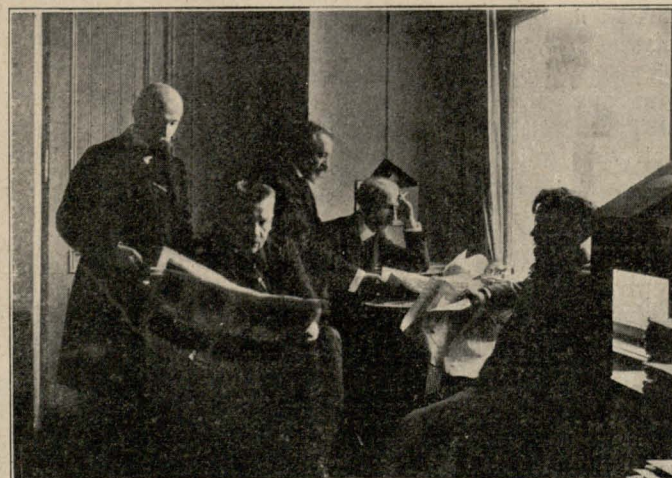
DZIAŁ LITERACKI.

Artur Oppman

W dodatku powieściowym

najwybitniejsze utwory współczesnej literatury europejskiej

16 stron co tydzień bez żadnej dopłaty.

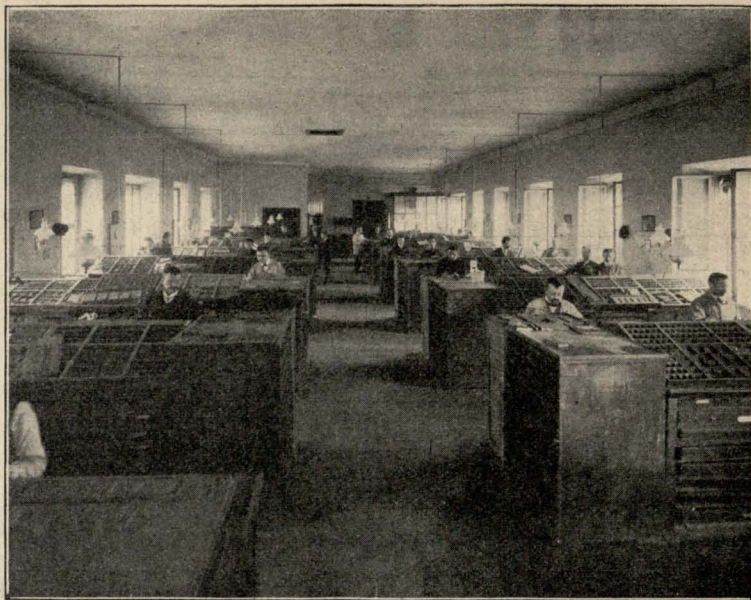


DZIAŁ ARTYSTYCZNY.
Konstanty Gorski St. Lenc Jan Gebethner Józef Holewiński Antoni Gawiński

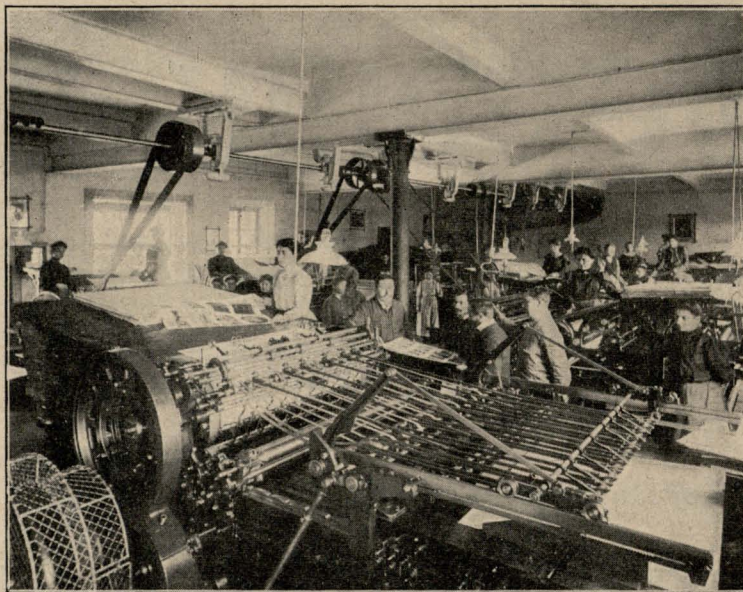
PRENUMERATA „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO”:

w Warszawie: rocznie rub. 8, półrocznie rub. 4, kwartalnie rub. 2. Z przesyłką pocztową: rocznie rub. 12, półrocznie rub. 6, kwartalnie rub. 3. Prenumerata we wszystkich księgarniach.

Adres Redakcyi i Administracyi: **Warszawa, Zgoda 12, Telefon 414.**



HALA ZECERÓW.



HALA MASZYN.

DRUKARNIA W. L. ANCZYCA I S-KI.

Jedną z najbardziej znamienitych i charakterystycznych cech kultury Krakowa jest jego przemysł drukarski. Pod Wawelem ugruntuwał się on od wieków tak mocno i nagromadził takie skarby szlacheckiej tradycji, że w historii drukarstwa europejskiego zdobył Krakowowi szereg kart tak chlubnych, jakimi żadna inna słowiańska stolica poszczycić się nie może.

Tradycja drukarstwa krakowskiego przetrwała zwycięsko wszystkie katastrofy dziejowe, przeżyła długie okresy upadku politycznego, ekonomicznego i kulturalnego i z nastaniem bardziej sprzyjających warunków odżyła na nowo, pysznym rozkwitając kwiatem, kiedy ją jednostki, w szlachetnym swoim kunszcie szczerze rozmiłowane, przeszczepiły na grunt tych wszystkich nowoczesnych udoskonaleń, które technika drukarska w ostatnich lat dziesiątkach zdobyła.

I oto, podczas gdy inne kunszty, którymi ongiś Kraków stynał, zmarniały, niestety, w czasie burz dziejowych i utraciły swoją siłę żywotną, tak że dziś trudno je nawet wskrzesić, drukarstwo krakowskie nigdy właściwie nie zamierało, a dzisiaj rozkwitło znowu tak, że Kraków, jako centrum drukarstwa polskiego, zajmuje dziś jedno z pierwszych miejsc w tym względzie w Europie i w zupełności zasługuje na miano polskiego Lipska.

Powszechnie a dobrze ugruntowana opinia wskazuje jednomyślnie, jako wskrzesiciela dawnego blasku i świetności drukarstwa polskiego, p. Wacława Anczyca, który, po przedwczesnej śmierci ojca swego, s. p. Władysława Ludwika, objąłszy założoną przezeń w r. 1876 drukarnię, podniósł ją w krótkim czasie na poziom bezsprzecznie pierwszej oficyny w Polsce.

I rzeczywiście, wystarczy kilka zdań zamienić z panem W. Anczycem, aby przekonać się, że stanowi on nowy i, niestety, tak rzadko u nas spotykany typ człowieka, jakgdyby stworzonego do organizowania, podnoszenia i uszlachetniania tej dziedziny pracy ludzkiej, którą uczynił swoją specjalnością. Z zamiłowań młodzieńczych historyk, ulubiony uczeń prof. Smolki na uniwersytecie krakowskim, ujrzawszy się po śmierci ojca zmuszonym do objęcia po nim kierownictwa drukarni, wziął p. Anczyc rozbrat z umiłowanymi studiami i poświęcił się drukarstwu. Nie przyszło mu to łatwo. To też, już bawiąc w Lipsku, dokąd udał się na studia, mające go przygotować do nowego jego zawodu, nie porzucił swojej historii, lecz ukończył cały wydział filozoficzny na uniwersytecie lipskim, zgłębiając równocześnie tajniki wysokiej sztuki drukarskiej. A nie było to igraszką, lecz ciężką i mozolną pracą. Anczyc, młody historyk, nie wahał się z zakasaniem rękami, w zwyczajnej bluzie robotniczej stanąć do kaszty i, pracując, jako prosty pomocnik drukarski, później

zaś jako zecer, przechodzić powoli i systematycznie wszystkie stopnie wtajemniczenia w sztukę budowania i uwielokrotniania ksiąg. To dziś jeszcze niezwykle, a w najwyższym stopniu chwalebne poszanowanie wielkiej pracy, tudzież owa systematyczność i gruntowność studyów i praktyki uczyniły w krótkim czasie z p. Anczyca pierwszorzędny fachowca, który zna dokładnie każdy najdrobniejszy szczegół swego trudnego zawodu, rozwijając go jednocześnie i doskonaląc, dzięki ogólnej silnej inteligencji i szerokiemu swemu wykształceniu.

Nic też dziwnego, że, powróciwszy z takim zapasem wiedzy i doświadczenia do rodzinnego Krakowa, p. Anczyc od razu postawił swoją drukarnię na poziomie wymagań europejskich. Spokojna, równa energia urodzonego przemysłowca, ścisłość w pojmowaniu swych zadań i obowiązków, duży zmysł organizacyjny—oto owe czynniki naturalne, które, obok nabytej wiedzy, pozwoliły p. Anczycowi dokonać istotnie bardzo poważnego dzieła w wysokim ekonomicznym, a ogromnym kulturalnym znaczeniu.

Dnia 25 października r. z. personel drukarni p. Anczyca, złożony z przeszło 120 osób, wiedziony uznaniem dla jego wytrwałej pracy i wdzięcznością dla jego zasług około podniesienia drukarstwa polskiego, uczcił dwudziestopięciolecie tej owocnej pracy. Skromna i domowa niemal uroczystość—p. Anczyc nie lubi rozgłosu — zamknęła jedną fazę rozwoju tej najlepszej dzisiaj drukarni polskiej i jednej z pierwszych w Europie.

Wiedziony ciekawością, u piszącego człeka łatwo zrozumiałą, skorzystałem z uprzejmego pozwolenia p. Anczyca i oficynę jego niedawno dokładnie obejrzałem. A skutkiem tych odwiedzin moich jest silne przekonanie, że drukarnia Anczyca zasługuje na to, aby ją szeroka polska publiczność bodaj z krótkiego opisu nieco dokładniej poznała.

Drukarnia zajmuje duży szmat gruntu przy



Hala maszyn pomocniczych.

Plantach u wylotu ulicy Zwierzynieckiej. We frontowych narożnych ubikacjach mieszczą się biura zarządu i właściciela, który z uprzejmą gotowością wysłuchuje mą prośbę i sam podejmuje się oprowadzić mnie po swoim wódarstwie. Więc najprzód jądro drukarni—hala zecerów. Ogromna, z dwóch stron oświetlona sala, zastawiona dwiema kolumnami kaszt, przy których pochyleni drukarze pracują w ciszy i skupieniu. Wzorowa czystość, rozumny ład we wszystkim sprawiają to miłe wrażenie, jakie zawsze wywiera na człowieka praca ludzka, doskonale i celowo zorganizowana.

Mijamy garderobę zecerni i personelu technicznego z dużymi umywalniami i stajemy w hali maszyn. Kilka motorów elektrycznych i gazowych o łącznej sile 18 koni parowych prowadzi swój charakterystyczny rozchód, a potężne prasy drukarskie odbywają swą drogę prawidłową tam i z powrotem. Na halę maszyn zwraca mi p. Anczyc uwagę. I nic dziwnego. Tu bowiem widać najlepiej cały jego umysł organizacyjny i całą śmiałość, z jaką nie waha się łożyć bardzo znacznych sum na najnowsze ulepszenia techniczne, torując niejako drogę już nie tylko w Polsce, ale nawet w Europie wogóle. Oto np. dwie maszyny ilustracyjne do druków trójbarwnych, stanowiące ostatni wyraz techniki już nie europejskiej ale aż amerykańskiej. Niedawno ujrzał je p. Anczyc gdzieś tam na wystawie na Zachodzie, i oto dwa takie smoki stoją już w jego hali maszyn, pracując z dokładnością precyzyjnego zegarka. Tuż obok inna śmiała nowość — maszyna do mycia walców farbowych. Wiadomo, że druk trójbarwny odbywa się przez przepuszczanie płyt popod systemem walców, rozprawiających po nich farbę drukarską. Mycie tych walców stanowiło dotąd wcale trudne, wiele czasu i pracy żmudnej wymagające zadanie. Tymczasem oto na dowcipną maszynę, przed którą zatrzymał mnie p. Anczyc, w moich oczach położono brudny walec. Maszynista puścił w ruch cały system śrub i kółek, walec brudny zaczął się kręcić i skrzypieć, a po niecałej minucie zdjął go robotnik z drugiego końca maszyny już całkiem czysty i do dalszego użytku przygotowany.

Za halą maszyn znowu przestronna ubikacja, gdzie zadrukowane już arkusze porządkuje się, sortuje i satynuje pod prasą, poruszaną ciśnieniem jakiejś bardzo znacznej ilości atmosfer. W dalszych szczegółach gmachu lejnia czcionek i stereotypia z odpowiednimi maszynami, które pracują wyłącznie na użytek drukarni, introliigatornia i olbrzymie magazyny papieru. O rozmiarach ich może dać pojęcie fakt, że w ciągu roku ubiegłego z pod pras drukarni Anczyca wyszło *trzydzieście i pół miliona* arkuszy zadrukowa-

nego papieru... Jest to produkcja ogromna, która obejmuje wszystkie prawie liczne i bogate nakłady Gebethnera i Wolffa, tudzież całego szeregu innych pierwszorzędnych polskich firm nakładowych. Rzecz można bez wszelkiej przesady, że nie było w polskiej literaturze ostatnich lat 30 dzieła lepszego, któreby nie tłoczyło się w tej znakomitej drukarni.

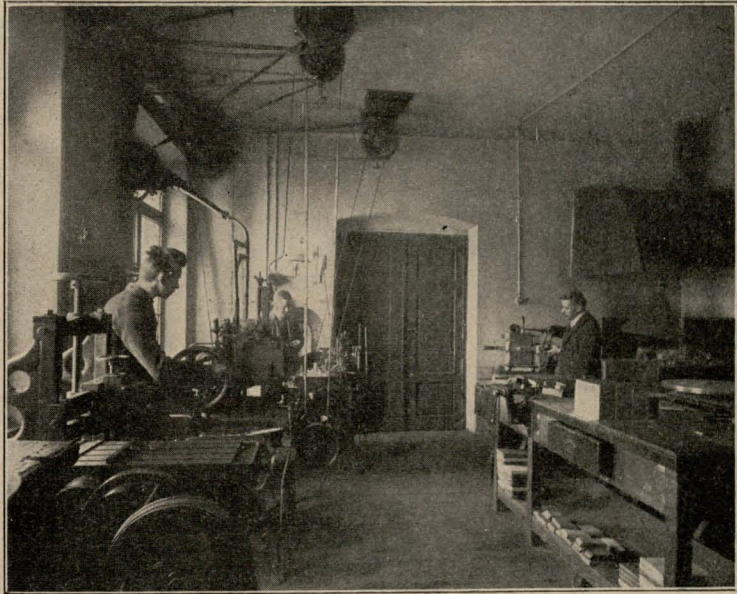
Obok ogromnego bogactwa pism wszelkiego typu, z których gust i wyrobienie artystyczne kierownika stwarza arcydzieła kunsztu drukarskiego, ma dzisiaj drukarnia Anczyca jeszcze jedną, do najwyższej doskonałości doprowadzoną specjalność—druk trójbarwny. Wszystkie znane czytelnikom obrazowe premia *Tygodnika Ilustrowanego* wyszły z pod pras drukarni Anczyca. A takie dzieło, jak wydawnictwo Altenberga p. t.: „Sztuka



Introligatornia.

polska”, złożone z 65 plansz, „Matejko” Witkiewicza, „Grottger” Potockiego i w. in., stanowią trwały i przekonujący dowód, że drukarnia ta dorównywa pod względem wykonywanych w niej robót najlepszym i najbogatszym officynom europejskim.

Pożegnawszy się z uprzejmym gospodarzem, opuszczałem jego imponujący zakład z tem szczerem zadowoleniem w duszy, że jednak w tej naszej biednej Polsce można zrobić bardzo wiele bardzo pożytecznych i bardzo pięknych rzeczy, jeżeli tylko znajdzie się człowiek taki, jak p. Wacław Anczyca... Geniusz doskonałości w najrozmaitszych dziedzinach pracy ludzkiej nie omija nas bynajmniej, ani nie ucieka od naszych granic. Potrzeba go tylko umieć wprowadzić i na stałe zadomowić, jak to ujrzałem w drukarni Anczyca. VIATOR.



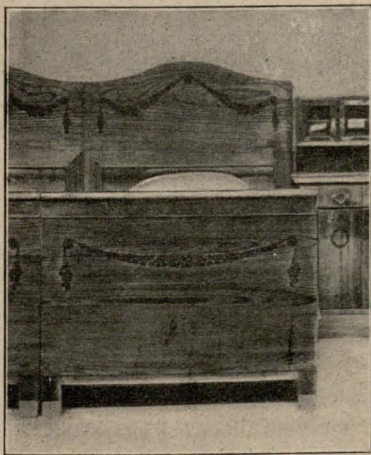
STEREOTYPIA I LEJNIA CZCIONEK.



MAGAZYN GOTOWYCH DRUKÓW.

ANGLIK O MEBLACH POLSKICH.

W tych dniach ciceronowałem po Warszawie p. Ralfowi Morai, przedstawicielowi wielkiego domu eksportowego w Londynie, przybyłemu do nas dla zawiązania stosunków handlowych. Dom londyński prowadzi główny interes artykułami, wchodzącymi w zakres meblarstwa, i gotowymi meblami. Przybycie swoje motywował p. R. Morai danemi, że



dotychczas, mimo bojkotu, większość artykułów, jak okucia, witraże, skóry, zwłaszcza skóry, a częstokroć i całe meble, są dostarczane z Berlina, aczkolwiek wyrób niemiecki jest lichej i pozornie tylko stylowy. Z pojęciem stylu—mówił—łączy się dokładność wykonania i wyborowy materiał, dlatego co do niemieckich wyrobów użyłem wyrażenia „pozornie”, gdyż berlińskie dostawy obu tych cech nie posiadają.

Chciałem przeczytać co do możliwości dostaw niemieckich, ale w kilku zwiedzanych magazynach mebli pokazał mi szkła i witraże w kredensach marki niemieckiej, w innych fotele, wybite skóry z Berlina, i w innych jeszcze forniery z nad Sprei.

Było mi przykro słuchać tych dowodzeń Anglika, broniłem rodaków, jak mogłem, ale nie zmienił zdania. Dopiero gdyśmy się znaleźli na **Królewskiej Nr. 6** w magazynie „Majstrów stolarskich” p. Jana Berezńskiego, mój gość angielski zmienił przekonania:

— Ot widzi pan, co pochwały godne—pochwałę. Tu nie ma ani za grosz niemieckiej tandety. Ta sypialnia **stylowa** mogłaby się znaleźć w pałacu naszych lordów, ten pokój stołowy w świetnie zmodernizowanym **empire** budziłby zachwyt w Londynie. A spójrz pan! te skóry na tym „gabiniecie” to nasze! Widzi pan, jaka różnica od tych, któreśmy widzieli dotychczas.

Tu wtrącił p. Berezński: — Wszystkie wyroby, jakie Sz. P. widzicie, wykonane są siłami miejscowymi, jedynie niektóre dodatki do mebli zmuszony je-

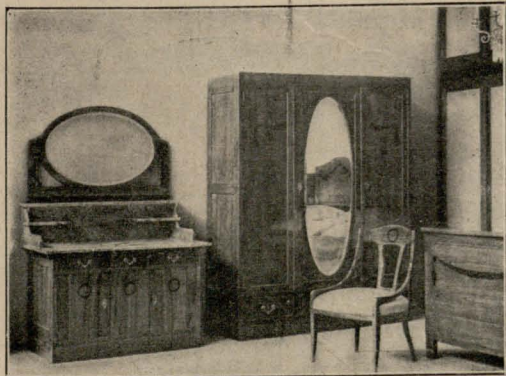
stem sprowadzać z Anglii i Francji, ponieważ wyrób takowych u nas nie doszedł jeszcze do doskonałości, wymaganej przez naszą sztukę stosowaną.

P. R. Morai uściśnił rękę p. J. Berezńskiego.

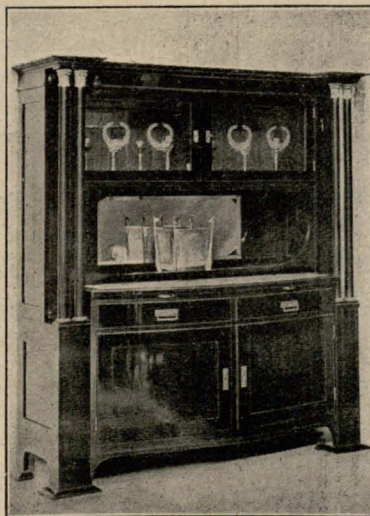
— Mogę panu powinszować, jako fachowiec. Podobnie stylowe meble, jak w pańskim magazynie, rzadko gdzie można spotkać. W lipcu r. 1910 urządzamy wszechświatową wystawę umeblowań w Londynie. Mam zaszczyt prosić pana o wzięcie udziału w tym konkursie. Oto warunki.

Podał p. B. program przyszłej wystawy.

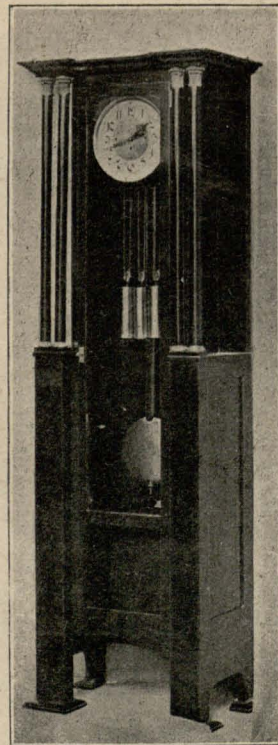
Józef Wikliński.



Sypialnia mahoniowa w kolorze naturalnym różowym, inkrustowana drzewem palisandrowem i cytrynowem.



Jadalnia w stylu Bidermajer z bronzami.



A. TRAUTWEIN

HANDEL WIN, TOWARÓW KOLONIALNYCH I DELIKATESÓW

Łódź, ulica Piotrkowska Nr 73, Telefon 8-80.



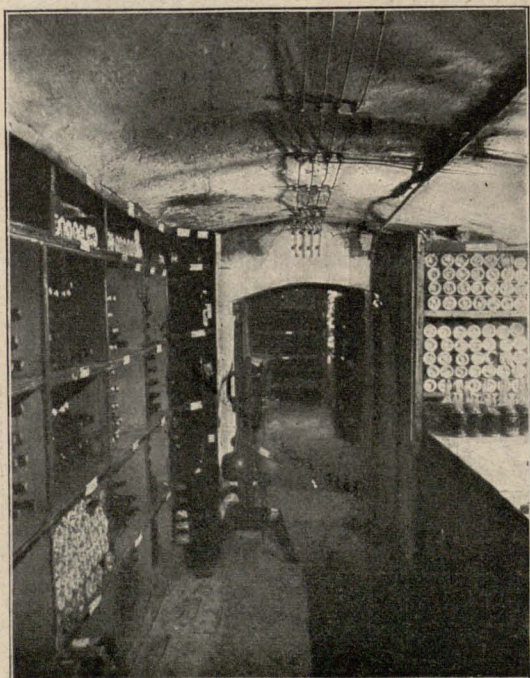
Handel kolonialny A. Trautwein w Łodzi.

Łódź jest znana, jako miasto bawelniane, wszyscy wiemy o jej olbrzymich fabrykach, niezliczonych wysokich kominach, o ulicy Piotrkowskiej, siedem wiorst długiej, o tramwajach elektrycznych, w czym wyprzedziła o lat kilka Warszawę, o wspaniałych rzeźniach miejskich, których budowy dotąd napróżno oczekuje nasza stolica, wiemy też o strasznych strajkach i o smutnej ciągłej zniżce płacy robotników, wiemy o bandytyzmie łódzkim, o grabieżach i napadach na kasyerów i inkasentów.

Rozumie się, wiemy też o Fremmlu, kacie łódzkim, i o wielu, wielu innych sensacyjnych sprawach łódzkich.

A doprawdy, że wartoby jeszcze dowiedzieć się, o ile w tem mieście, kilkaset tysięcy mieszkańców liczącem, są ludzie, pracujący nad jego kulturą, nad rozwojem przemysłu i handlu, ludzie, mający na celu nie tylko własne korzyści, ale i dobro współmieszkańców.

Łódź pod względem zdrowotnym daleko



Piwnice handlu win.

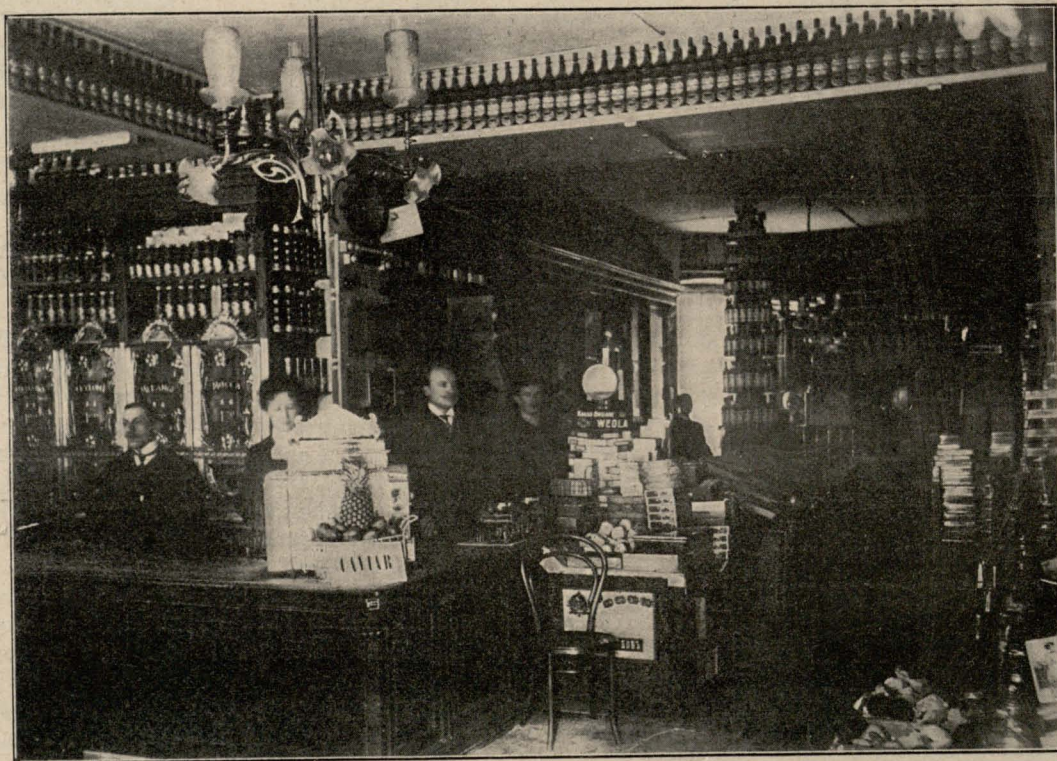
nież stoi od miast Europy zachodniej: przedewszystkiem nie ma kanalizacji i dobrych mieszkań; tymczasem jest pożądaną, aby ludziska za ciężko zapracowane grosze mogli się dobrze, zdrowo i niedrogo odżywiać.

W ostatnich czasach jesteśmy świadkami wzmożonego dążenia, aby jak najwięcej, jeżeli nie wytwarzać, to przetwarzać—udoskonalając materiały spożywcze na miejscu.

Jedną z najpoważniejszych potrzeb miejscowych jest dobra kawa, i mamy ją, pako-

1898-go roku pracować pod własną firmą. W 1901-ym roku powiększył swój handel, zakupiwszy całą piwnicę i olbrzymi skład wódek „Rektyfikacji Warszawskiej”. Pracując z większym doświadczeniem życiowym i kupieckim, dochodzi do coraz większych rezultatów—i dziś można powiedzieć, że należy do bardzo poważnych kupców w Łodzi. Z jego zdaniem liczą się i koledzy warszawscy, którym radzi utworzyć przytułisko dla weteranów przy Stow. Subjektów, i komisya łódzka, której jest członkiem, obradująca nad unormowaniem godzin pracy dla pracowników handlowych.

Przyjemnie jest popatrzeć, zwiedzając olbrzymie piwnice i składy win, wódek, likierów, porterów, z jakim zamiłowaniem i systematycznością pracuje kilkanaście osób nad utrzymaniem wszystkiego w należytym porządku, zwracając niemiejszą przytem uwagę na szybkie, akuratne i sumienne wypełnianie obstalunków, powierzonych firmie



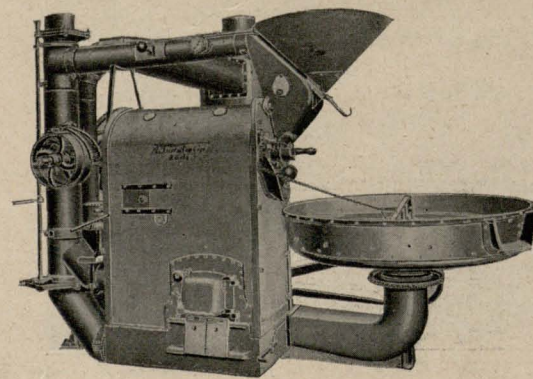
Wnętrze handlu kolonialnego.

ną na miejscu, przy zastosowaniu najnowszych maszyn elektrycznych, które zaprowadził u siebie, p. A. Trautwein, kupiec łódzki, właściciel wielkiego składu win, towarów kolonialnych i delikatesów.

Pan Trautwein, wychowany w Warszawie, tam ukończył praktykę kupiecką w handlu win „Simon i Stecki”, gdzie od roku 1884 pracował wytrwale, kształcąc się jednocześnie teoretycznie w szkole kupiectwa warszawskiego.

Zapisuje się do Stowarzyszenia subjektów, aby mógł dzięki wspólnej wymianie myśli racjonalnie i owocnie pracować w przyszłości. Kiedy następnie dokończył kilkoletniej praktyki w Łodzi, zajął się z potrzebami i warunkami miejscowymi, zaczął od

A. Trautwein. Wobec takiego rozwoju firmy można patrzeć spokojnie w jej przyszłość.



Maszyna elektryczna do mielenia kawy.

NADESŁANE.



„Konik“
Mydło z mleka liliowego

wytwarza różowy, młodociano-świeży wygląd, czystą, białą, jak jedwab miękką skórę oraz delikatną, ośniewająco-piękną cerę.
Dostać można wszędzie po 50 kop. za sztukę.
Główny skład na Państwo Rosyjskie:
Biuro chemicznych preparatów St.-Petersburg, Newski 28, d. Singera.

HENRYK MICHAUX
LEKARZ DENTYSTA
Warszawa, Foksal Nr 15. Telefon 69-80.

Tow. Akc. **Haberbusch i Schiele**
Browaru
poleca **PIWO PILZEŃSKIE.**

FORTEPIANY, PIANINA, PIANOŁE
ORGANY, MELODYKONY
GEBETHNER i WOLFF
Warszawa, Krak. Przedm. 19

AWRÓBLEWSKI i SKA



Zdrowie mieli i szczęśliwi byli pradiadowie nasi, kiedy pijali stary słowiański trunk

MIÓD

Olbrzymie zapasy starych miódów w 1-ej chrześcijańskiej fabryce miódów

W. WYSOCKIEGO

w Warszawie, ul. Podwale Nr 25.

Dostać można: Warszawa, Wysocki Podwale Nr 25, Handel Win, Mazowiecka Nr 3 i we wszystkich znaczniejszych handlach i restauracjach Warszawy i Królestwa. Petersburg: Sienkiewicz, Czernyszew.-Pereuok Nr 14, Milwid, Mikołajewska Nr 31; Kuźmin, Kazańska Nr 20. Wilno: Stempkowski, Rymkiewicz, Grużewski, Dawidowski, Veritas. Kijów: Paszkow i Synowie. Brjańsk: Grabowski. Riga: Rathel. Odessa: Bratkowski, Kobleńska Nr 40; Witanowski, Ryszajewska Nr 19; Tomaszewski, Sadowa Nr 16. Charków: Jampolski. Moskwa: Pawłowski, Dołgorukowska. Ekaterynostaw: Bobowicz; Dzygit; Zaporozcew i t. d.

PASTILLES

DE

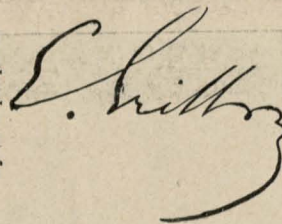
**TAMAR
INDIEN
GRILLON**

PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.

Owoc przeczyszczający
PRZECIWO

OBSTRUKCYI

Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpisem



We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

Najlepsza Pasta do Obuwia
H. Trembińskiego

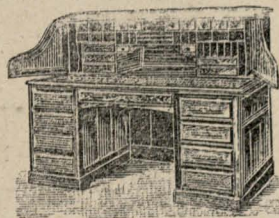
„INTRYGANT”

żądać
wszędzie

Sergio KALODONT

Niezbędny krem do zębów
Utrzymuje zęby białe, czyste i zdrowo.

Żądać wszędzie



KOMPLETNE

Urządzenia biurowe
KAROL F. FIŠER

Warszawa, Mazowiecka 10.



W. CYBULSKI i S-ka Telefon 60-29

Warszawa, Nowo-Senatorska 7.
Wyroby Siodlarsko-Rymarskie i Sportowe.

Rynek głów. linia AB róg ul. Floryańskiej
KRAKÓW Magazyn Nowości B. WIERZEJSKI

Ceny bardzo niskie. Wybór wielki. Towary tylko polskie, krajowe.

Od Administracyi.

Agencje nasze: G. Gebethner i Spółka w Krakowie i S. Sokołowski we Lwowie posiadają na składzie resztę premium „Tygodnika Ilustrowanego” z 1908 r., album

„Duch-Rewolucjonista” Antoniego Kamińskiego

Cena albumu broszurowanego Kor. 5.— (rb. 2)
w ozdobnej oprawie „ 10.— (rb. 4)
Za przesyłkę pocztową albumu dopłaca się „ 1.— (kop. 60).

KSIĘGARNIA FR. RACZKOWSKIEGO W LUBLINIE, Krak.-Przedmieście 36
przesła na własność GEBETHNERA i WOLFFA.

SRODKI do ZĘBÓW

ELIKSIR, PROSZEK i PASTA
Ojców
BENEDYKTYNÓW
Opactwa SOULAC

WAŻNA UWAGA :
Flakony eliksiru Benedyktynów nie opatrzone plombą komory celnej rosyjskiej powinny być uważane za podróbione.

MODEL FLAKONU



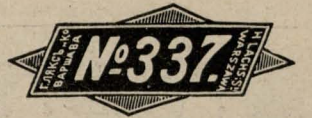
WYSTRZEGAĆ SIĘ PODRABIAŃ! NAŚLADOWCÓW SĄDOWNIE ŚCIGAĆ BĘDZIEMY!

PUDER IRIS

Subtelny Hygieniczny
Niedostrzegalnie Przylegający
Bezwzględnie Nieszkodliwy

Perfumerya „IRIS” H. Lachs i S-ka

Marka Fabryczna.



Skład fabr. Przejazd 1.

Złoty medal 1908
Srebrny medal 1908

Pierwsza warsz. Fabryka styl. Mebli trzećinowych T. & W. Krakowscy

Magazyn—Warszawa,
Aleje Ujazdowskie 16. Tel. 70-10

L. Lipiński { Magazyn i Fabryka Wyrobów Jubilerskich Tel. 75-12. } Wielki wybór brylantów, kolorowych kamieni i pereł oraz biżuteryi złotej i srebrnej w najnowszych fasonach. Srebro stołowe, gładkie i stylowe. Firma egz. od 1875.

HURTOWY I DETALICZNY
SKŁAD SUKNA I KORTÓW

LEONA MESSINGA

MIODOWA № 7

poleca modne materiały krajowe i angielskie. Na prowincję wysyła za zaliczeniem pocztowym.

**IDEALNY POKARM**

dla niemowląt i dla dorosłych,
dotkniętych chorobą żołądka.

UŻYTECZNE, PRAKTYCZNE, TANIE

WITRAZE

do okien, oraz KALKOMANIE naśladowujące słoje
i kolory wszelkich drzew i marmur

MAGAZYN FRANCUSKI (BERGA 8).

**LUDWIK SZUFA
KRAWIEC**

KRAKOW TELEFON 671

Magazyn Sukien i Okryć Damskich
Władysławy Kwiatkowskiej
Przeniesiony z Chmielnej 9

na Plac Św. Aleksandra 14 (Telefon 7383)
Poleca gotowe: Suknie wizytowe, Kostiumy angielskie, Bluzki od skromnych do najstrojniejszych, Spódnice do bluzek, Paski, Zaboty. Zamówienia przyjmują się z własnych i powierzonych materiałów.

DLA KASZLĄCYCH I OSŁABIONYCH
EKSTRAKT I KARMEŁKI

LELIWA

w Warszawie, ulica Zielna Nr 21, Telefonu Nr 59-54.
SPRZEDAŻ W SKŁADACH APTECZNYCH I APTEKACH.

**L. MARCHOWIECKI** Krak.-Przedmieście 23

(vis à vis pom. Mickiewicza)

Poleca: Skórzaną galanterię, przybory podróżne, ozdobne albumy, ciepłe pantofle, etc. Wyrób własny, ceny niskie.

DLA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA”

mamy na składzie

Okładki ozdobne DO PÓŁROCZY „TYGODNIKA”

po rub. 1, z przesyłką i opakowaniem rub. 1.35.

piękne artystyczne teczki

do albumu „DUCH REWOLUCYONISTA” A. Kamińskiego

po rub. 2, z przesyłką i opakowaniem 2.60.

Do cyklu „BOŻY ROK” Piotra Stachewicza

po rb. 1.50, z przesyłką i opakowaniem rb. 2.



Wyprowadzamy z dawnych zapasów

5,000 gąsiork. wina węg.

wytrawnego, średniego lub słodkiego
po wyjąkowej cenie rub. 1 kop. 20.
Dostawa 15 gąsiorków franko.

Skład Win i Koniaku

Braci KEMPNERÓW

Długa Nr 5. Telefonu Nr 772.

SAGRADA BARBER

wzmocnia żołądek
i łagodnie przeczyszcza

**Księgarnie Gebethnera i Wolffa**

W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9

pośredniczą

w prenumeracie pism

krajowych i zagranicznych

po cenach redakcyjnych.

KSIĘGARNIA

GEBETHNERA i WOLFFA

w Warszawie

poleca:

WYBÓR POEZJI

ARTURA OPPMANA (OR-OTA)

wydanie nowe zmienione i po-
większone, z portretem autora.

Cena rb. 1.50, w ozdob. opr. rb. 2.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

ODPOWIEDZI.

Prenumerotorowi T. M. Warszawski Związek Roboczy jest stowarzyszeniem, podejmującym zbiorowo pewne roboty i dostarczającym pracy wyłącznie swoim członkom. Udział najwyższy dla kandydatów na posady z gwarancją Związku wynosi 1564 rb.: od tysiąca płaci Związek 4%; od 500 dywidendę przeciętnie 8—10%; najniższy udział wynosi 664 rb. Udziały są o tyle pewne, że na solidarnym poręczeniu członków oparte i że Związek jest administrowany ostrożnie. Pracodawcy chętnie korzystają z usług Związku, zwłaszcza co do posad, dla których wymagana jest gwarancja. Nie idzie za tem jednak, aby Związek zobowiązywał się do dostarczania pracy każdemu członkowi zaraz po zapisaniu się. P. Kazim. Marcinkowskiemu. Odpowiedź nasza była wyraźna: wskazaliśmy, który z uczonych (Penka, Mach i inni) uważają za kolebkę rodziny Aryów Europej. Na nich też oparł swą hipotezę prof. Brückner.

VENUS puder uznany na wystawach higienicznych jako nieszkodliwy i polecony dla PAŃ jako najlepszy puder krajowy.**AGATOL** proszek, eliksir i pasta do ZĘBÓW o silnym aromacie i własnościach przeciwnilnych.

Poleca Laboratorium St. GÓRSKIEGO, LESZNO 12, Telefon 52-34. Żądać wszędzie.

Piegi przyszcze, plamy i liszaje usuwa crem **VENUS** idealnie skuteczny środek.**Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ BRONZY SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr 15 Tel. 21.90**

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.